



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 26 KWIETNIA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY (1.800.000 Mkp).

TREŚĆ NUMERU:

W pałacej sprawie szkół sanitarnych — *Siostra Elżbieta Robowska*. O czem się jeszcze nie mówi — *K. S.* Opieka nad macierzyństwem — *Dr. med. Zofia Garlicka*. Świat Kobiety (feljton) c.d. — *Maria Grossak Korycka*. Beryl Maryji z Magdali (cz. pierwsza) — *Maria Niklewiczowa*. Genjusz a nieszczęście — *C. Walewska*. Kolorowe szkiełka (nowela) — *Jerzy Szaniawski*. Z cyklu „Profile Romantyczne” — *Marja Wołkońska*. i Teresa Confalonieri — *K. Bielańska*. Święto Kilińskiego — *al.* Piękna książka — *M. Iwaszkiewiczowa*. Na polach pracy i twórczości. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *Stef. Podhorska-Okolów*. Z teatrów — *W. Mił.* Kącik lekarski — *Dr. J. Śmiarowska*. Pokój dziecięcy — *W. Z daleka* — *Nina Aleksandrowicz*. Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: Sprawa kryminalna (nowelka) dok. — *Wanda Miłaszewska*. Rozmowa lalek (nowelka) — *Luciano Zuccoli*. Dodatek robót i ubiorów.

W PALĄCEJ SPRAWIE SZKÓŁ SANITARNYCH

Gdy rzucimy okiem na mapę i zastanowimy się nad geograficznem położeniem Polski — łatwo spostrzeżemy, że narażeni jesteśmy na nieustające niebezpieczeństwo wrogiego najeźdu. Od wschodu grozi nam Rosja — od zachodu Niemcy, ochrony granic naturalnych nie posiadamy, kraj nasz, leżący poniekąd bezbronnym pomiędzy wrogami potęgami, stanowi dla nich wieczną pokusę. Musimy pamiętać, że potęga państwa pruskiego urosła z Polski, butni Niemcy nie przestaną myśleć o odwecie i to krwawym i bezwzględny za odebrane im bogate ziemie śląskie, pomorskie i wielkopolskie.

Rosja ze swojej strony nie przestanie wyciągać ku nam zaborczych, chciwych szponów, dążąc zawsze przez Polskę do zbliżania się ku zachodniej Europie. Takich sąsiadów mamy od zachodu i wschodu. Jesteśmy podobni do ziarna pszenicznego wciśniętego pomiędzy dwa kamienie młyńskie, które każdej chwili zmiażdżyć

nas mogą w dławiającym uścisku. Gdy dodamy jeszcze istniejącą odwieczną nienawiść wrogich naszych sąsiadów ku nam, podsycaną stale ich interesownością — zobaczymy, że powinniśmy być zawsze gotowi do obrony. Położenie polityczne i geograficzne wymaga czujności narodu.

Naród polski zdolny jest do czynów bohaterskich; wiemy o tem wszyscy i czerpiemy stąd pociechę. Wiemy, że w chwilach najgroźniejszych znajdują się bohaterzy, ratujący ojczyznę z największym poświęceniem — ale brakuje nam innej jeszcze cnoty, cnoty, któraby naród nasz wzmocniła — opancerzyła go zawczasu przed grożącymi ciosami.

Jest to cnota powolnego, stałego, nieustannego wysiłku w pracy.

W dzisiejszych, czasach, coraz bardziej widzimy, że Polsce niezbędnie są potrzebni bohaterscy ludzie, obok cichych i wytrwałych pracowników.

My kobiety, jako matki i wychowawczynie, pracowniczki i działaczki społeczne musimy dbać o dziecko, o szkołę, o czystą, podniosłą, szczerze narodową atmosferę domu rodzinnego. Jako obywatelki, zdające sobie dokładnie sprawę z położenia geograficznego i politycznego naszego kraju, musimy dbać o żołnierza, o jego potrzeby z zakresu higieny i zdrowia moralnego.

Silna, zdrowa, dobrze wyćwiczona i dobrze zaopatrzona, ożywiona mocnym duchem armja jest najlepszą i najpewniejszą gwarancją bezpieczeństwa kraju, jego rozwoju, jego dobrobytu, jego przyszłości.

Czy my o tem dostatecznie pamiętamy, czy się o to w dostatecznej mierze troszczymy.

Czy też, o wielu pierwszorzędnych potrzebach żołnierza będziemy mówili dopiero wtedy, gdy już będzie zapóźno, gdy wojna wybuchnie, gdy wróg wkroczy w granice Polski,

Tak, jak ochotnicza straż pożarna, ćwiczona zawczasu, gotowa jest zawsze stanąć do apelu, gdy pożar wybucha, podobnie służba sanitarna powinna być organizowana w czasach pokoju, żeby móc w razie wojny stanąć w gotowości.

Z punktu widzenia zawodowej pielęgniarki uważam, że dla rządu naszego kwestją pierwszorzędnej wagi jest odpowiednie wyszkolenie kobiet w sanitarnej służbie wojskowej. Ponieważ łączy się to ściśle ze sprawą pielęgniarstwa wogóle, pozwolę sobie powiedzieć parę słów na ten temat. Jeśli porównamy wszystko, co w tej dziedzinie zrobiono na Zachodzie, zobaczymy, jak mało jeszcze rozwinięta jest ta kwestja u nas, a przecież jedna to z bardzo ważnych i żywotnych gałęzi pracy społecznej.

Można śmiało powiedzieć, że racjonalne pielęgniarstwo jest drugim obok medycyny, czynnikiem uzdrawiania ludzkości. Nieomal we wszystkich krajach na Zachodzie ruch ten jest już dzisiaj bardzo rozwinięty, szerokie koła kobiet biorą w nim udział.

Istnieje, łącznie ze szpitalami, wiele szkół pielęgniarских, z których wychodzą całe szeregi wykształconych pracowników.

Wstępują do nich dziewczęta i kobiety wszystkich stanów, bez różnicy wyznania, a które pragną się zawodowi pielęgniarstwu poświęcić.

U nas dotychczas pielęgniarstwem zajmowały się wyłącznie zakonnice. Stopień ich wykształcenia leczniczego był i jest, jak wiadomo, bardzo niski a zakres pracy ograniczony, gdyby nawet chciały—nie miały gdzie uczyć się gruntownie. Co znaczą tak zwane pielęgniarki „świeckie”—szeroki ogół mało wie. Jest to właściwie nowe pole pracy kobiecej, której zapoczątkowanie datuje się nie dalej, jak od lat kilkudziesięciu. To, co, w tym krótkim stosunkowo czasie zrobiono, mówi jednak dobitnie o wielkim zamięłowaniu kobiet do tego zawodu i o wielkiej sprężystości, szeroko pojętej pracy zbiorowej.

W Polsce do niedawna nie było ani jednej szkoły pielęgniarskiej i brak ten bardzo dotkliwie dawał się odczuwać, czy to w szpitalach, czy w życiu prywatnym. Potrzebę tej instytucji jaskrawo wykazała wojna, kiedy to ochotniczki, garnące się do pracy, albo przy dobrej woli nie miały pojęcia o rzeczy, albo kierowane były zgoła niskimi pobudkami moralnymi.

Wynikała stąd przeważnie działalność chaotyczna, bez systemu i porządku, nie mogąca w należytej mierze sprostać potrzebom chwili.

Mamy więc przed sobą olbrzymie pole pracy wysoce humanitarnej, której istotę i wartość nie wielu jeszcze ludzi pojmuje.

Z uznaniem podnieść należy wysiłki tych jednostek, które pracę tę zapoczątkowały. Pierwszą była panna Epsteinówna, która z własnych funduszy założyła szkołę pielęgniarek w Krakowie. Szkoła ta dziś już nie istnieje.

3 lata temu, z ramienia Czerwonego Krzyża Amerykańskiego, powstała w Warszawie niewielka, starannie urządzona szkoła pielęgniarek, w gmachach szpitala Czerwonego Krzyża, prowadzona przez amerykańkę Miss Bridge.

Uczennice szkoły pracują z pożytkiem na wielu Stacjach Opieki nad dzieckiem.

Wkrótce po założeniu wyżej wspomnianej szkoły, powstała w Poznaniu wyższa szkoła pielęgniarstwa, staraniem Polskiego Czerwonego Krzyża, prowadzona jednak również, z braku sił własnych, przez instruktorki Czerwonego Krzyża Amerykańskiego.

We Lwowie prof. Gröcz stworzył przy klinice szkołę pielęgniarek, oraz 6 miesięczny kurs dla pielęgniarek dla dzieci.

W Krakowie otworzono w 1921 r. kurs pielęgniarstwa 4 miesięczny, a wkrótce potem drugi 6 miesięczny. Słuchaczki, które kursy te ukończyły, otrzymały zajęcie na Stacjach Opieki nad dziećmi, urządzonych staraniem Wydziału Higieniczno - Lekarskiego P. A. K. P. O.

Nakoniec Polski Czerwony Krzyż, walcząc z wieloma trudnościami, dąży według możliwości do podniesienia umysłowego i etycznego poziomu wykształcenia swoich sióstr.

Staraniem przewodniczącej Sekcji Sióstr Czerwonego Krzyża, pani hrabiny Tarnowskiej, został w tym celu otwarty 6-cio miesięczny kurs. Kurs ten prowadzony jest w domu macierzystym na Mazowieckiej przez wielce zasłużoną pracowniczkę na tym polu, przełożoną panią Idzikowską.

Oceniając wysiłki nielicznych pracowników w tej dziedzinie, stwierdzić musimy, że ilość wykwalifikowanych pielęgniarek, których te szkoły mogą dostarczyć jest o wiele za mała.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że kraj tak mały, jak Szwajcaria (około

4 milionów mieszkańców) posiada kilkanaście szkół pielęgniarских po kilkadziesiąt uczenic, a ilość ta, jak się okazuje, jeszcze nie wystarcza — to ileż szkół powinna posiadać Polska, licząca przeszło 30 milionów mieszkańców, żeby sprostać zadaniu, tak w czasie pokoju, jak w razie wojny?

Na pytanie, co czynić należy, odpowiedzieć możemy, że dwie są rzeczy najważniejsze: uświadamianie ogółu społeczeństwa i sfer rządzących o potrzebie szkół pielęgniarских, a następnie zbieranie odpowiednich funduszy na zakładanie jak największej ich liczby.

Dobrze zorganizowana szkoła pielęgniarська z internatem powinna się mieścić przy szpitalu. Szpital ten powinien się składać z pawilonów z oddziałami wewnętrznym, chirurgicznym i zakaźnym. Kurs nauki winien trwać 3 lata.

Rok pierwszy obejmuje głównie teorię, poczem uczennica zdaje egzamin. Następne 2 lata poświęcone są ogólnej praktyce kolejno na wszystkich oddziałach.

To ześrodkowanie nauki pielęgniarskiej w jednym szpitalu miałoby na celu ułatwienie kierownicze dozoru i opieki nad każdą pielęgniarką.

Chodziłoby o to, żeby wychowawnice otrzymywały wykształcenie staranne, o jednolitym kierunku moralnym. Na kierowniczkę powinna być wybierana osoba, posiadająca przede wszystkim wykształcenie pielęgniarские, następnie uzdolniona pedagogicznie i mająca praktykę długoletnią.

Powinna ona być nauczycielką, prowadzącą program nauki pielęgniarstwa i wychowawczynią, urabiającą charakter pielęgniarek.

Wszystkie wykłady z dziedziny medycyny objąć powinien lekarz naczelny i jego asystenci. Po skończonych 3 latach pielęgniarka otrzymuje dyplom, poczem może się specjalizować, oddając się pracy, czy to w sali operacyjnej, w laboratorium szpitalnym, czy przy lampach roentgenowskich.

Umundurowanie, podobnie, jak to jest w wojsku, stanowiąc pewną odznakę tego zawodu, powinno być obowiązujące.

W krajach zachodnich pielęgniarka w mundurze wzbudza powszechne poszanowanie. Stanowisko jej, w założeniu swoim tak humanitarne, uznane jest za wyższe i szlachetniejsze, niżeli niejedno stanowisko biurolistki.

Brak większej ilości szkół pielęgniarskich, możnaby tymczasem, choć w części, zastąpić systematycznie prowadzonymi kursami sanitarnymi dla inteligentek. Kursy *) takie, których plan został już szczegółowo opracowany przez Polski Czerwony Krzyż, obejmowałyby program nauki teoretyczno - praktycznej, ze specjalnem uwzględnieniem chirurgji i opatrunków.

Każda dziewczyna, kończąca szko-

łę średnią, mogłaby bez trudu przejść kurs tej dodatkowej nauki, nie przeszkadzającej jej w niczem w dalszych jej życiowych planach, poczem dostawałaby świadectwo Czerwonego Krzyża.

Obowiązkiem narodowym, jest nieustająca myśl i wytrwała praca nad rozszerzeniem i udoskonaleniem służby sanitarnej. Chodziłoby o to, żeby każda kobieta zdawała sobie sprawę, że choćby ogólne obznajmienie się z pielęgniarstwem powinno stanowić jej obywatelski obowiązek.

We wszystkich pracach w Polsce kobieta bierze czynny i śmiały udział.

W ostatnich czasach znać jej pracę na polach nauki, polityki i samorządu.

Niechże się zatroszczy w całe pełni i rozciągłości o obrońcę kraju i stworzy typ *siostry pielęgniarki*, stojącej na wysokości swego zadania. Cel wielki i piękny—warto się pokusić o zrealizowanie takiego typu, który dotąd majaczy się w naszej wyobraźni, a żyje w świadomości tych poważnych i odpowiedzialnie myślących kobiet polskich, które mają w sobie dusze bohaterskie, do krańcowych poświęceń zdolne.

Siostra Elżbieta Rabowska.
b. przełożona szwajcarskiej szkoły
pielęgniarskiej w Zurychu.

*) Zapisy na Kursy rezerw pomocniczych Czerwonego Krzyża przyjmuje się od 24/IV — 1/V między godz. 9 — 11 r. na Smolnej 6 w Sekcji Sióstr Iś paw. VII.

O CZEM SIĘ JESZCZE NIE MÓWI?

IV

Dom powinien czuwać nad nauką i wychowaniem dzieci. Takie to proste i naturalne. Matka, czy ojciec, lub ktokolwiek starszy z rodziny powinien stale służyć radą i pomocą, interesować się wogóle życiem i pracą dziecka, jego stosunkami szkolnymi i koleżeńskimi. Poznać jego nauczycieli i kolegów, chodzić stale na konferencje wychowawcze i radzić wspólnie z wychowawcami nad jego potrzebami. Ze swojej strony, szkoły powinny od czasu do czasu urządzać odczyty i pogadanki, na których nauczyciele i rodzice omawialiby wspólną pracę, wspólne obowiązki, wspólny cel nauki i wychowania. Jakże mało jest rodziców, którzy sobie z tego naprawdę zdają sprawę.

Z wielkiej ilości charakterystycznych obrazków przytoczę następujące.

Uczenica—zresztą zdolna — zaniedbuje się w nauce. Przez cały rok nikt z opieki domowej się nie zjawia mimo kilkakrotnych wezwań ze strony wychowawczyni klasy. Dopiero pod sam koniec roku szkolnego po konferencji klasyfikacyjnej, kiedy uczenica dostała już 3 dwójki zjawia się matka u nauczycielki w domu. Nauczycielka powiada: „Szkoda, że pani tak późno przychodzi, teraz sprawa już przesądzona”. „To niemożliwe — oświadczam z emfazą „troskliwa” matka,—córka moja musi przejść do następnej klasy. Ona jest taka ambitna, że popełniłaby chyba samobójstwo i szkoła miałaby ją na sumieniu(!)”. Na takie dictum nauczycielce rozmaite brzydkie myśli przychodzą do głowy, ale robi dobrą minę i powiada: „Mam nadzieję, że Pani miłość i troskliwość macierzyńska uchronią ją od tak nierozsądnego i niemoralnego czynu, a na przyszły rok zainteresuje się Pani więcej jej postępem w nauce”.

Inny przykład—zupełnie zresztą podobny do poprzedniego, z tą tylko różnicą, że matka na parę dni przed

rozdaniem świadectw proponuje nauczycielce, aby udzielała jej córce przez te kilka dni lekcji prywatnych. Kiedy nauczycielka zdziwiona powiada: „Ależ to niemożliwe” zaczyna matka uśmiechać się mile i znacząco: „Pani to jakoś robi. Można przecież urządzić „zdwkę”. Niech to kosztuje ile chce!” Rzecz naturalna, że jedyną odpowiedzią nauczycielki było wymowne spojrzenie, które pomysłowej matce odebrało ochotę do dalszych prób.

Komentarze zbyteczne!

Są to przykłady, wyjęte z wielu innych, może mniej drastycznych, ale świadczących nie mniej dosadnie, że większość rodziców nie rozumie swych obowiązków i nie docenia sprawy wychowania. Bezmyślna, a złośliwa krytyka szkoły, rozmaite rady dawane dzieciom, niedopuszczalne, już nie tylko z punktu widzenia pedagogji, ale nawet moralności — są to rzeczy prawie na porządku dziennym. Czy w takich warunkach może być mowa o racjonalnem wychowaniu?! Zło to tak jest zakrzewione i tak powszechne, że go już nie spostrzegamy. Ale trzeba raz rzeczywistości spojrzeć w oczy. Trzeba zabrać się do pracy nad budzeniem w szerokich sferach społecznych zrozumienia sprawy wychowania i świadomości obowiązków, współdziałania ze szkołą. Bez tego na nic się nie przydadzą żadne nowe teorie, nowe metody, nowe programy pedagogiczne! Trzeba będzie pomyśleć w przyszłości o pewnego rodzaju „przymusie szkolnym” także i dla rodziców.

Przechodzę do wypadków, w których szkoła uzna za konieczne fachową pomoc w domu. Wtedy powinna bezzwłocznie wezwać kogoś odpowiedzialnego z opieki domowej. Wychowawca danej klasy i nauczyciel odnośnego przedmiotu powinien wszechstronnie przedstawiać mu sprawę i wspólnie z nim naradzać się nad potrzebną pomocą. Tu stajemy wobec sprawy najważ-

niejszej, wobec kwestji doboru nauczyciela domowego. Jedno jest pewne, że to, co się dotychczas robi przeczy wszelkiemu rozsądkowi.

Jakto? więc w wypadkach, kiedy chodzi o uczniów, którzy nastroczają, szczególne trudności pedagogiczne, z którymi szkoła nie może dać sobie rady — wzywamy do pomocy ludzi niekwalifikowanych i niedoświadczonych! Uczniów szkoły, a choćby nawet młodych słuchaczy uniwersytetu, bez wyboru, bez pytania kto i co, ot — pierwszego lepszego, kto się zgłosi. I bądźmy szczerzy, — momentem decydującym jest tu prawie zawsze wzgląd na niskość honorarium. A jednak nawet wtedy, gdy angażujemy pracowników biurowych na podrzędne stanowiska, badamy świadectwa i rekomendacje. Wierzyć się wprost nie chce, jak lekkomyślnie i beztroskliwie postępujemy, gdy chodzi o sprawę tak poważną, jak powierzenie komuś bezpośredniego wpływu na duszę dziecka.

Czy trzeba długiego dowodzenia na to, że właśnie w tych wypadkach, powinny być powołane siły nauczycielskie pod każdym względem wytrawne. Nie chodzi mi, rzecz jasna, o żadne formalności papierowe, o żadne biurokratyczne szablony, ale o to jedynie, aby ktoś naprawdę zbadał, kim jest ten ktoś, kto ma objąć lekcję, jakie są jego kwalifikacje i polecenia do danej pracy. Chodzi mi dalej o to, aby ktoś w tę naukę domową stale wglądał, aby przed kimś ten nauczyciel za jej wyniki był odpowiedzialny.

Nie obejdzie się tu bez współdziałania szkoły. Sądzę, że najlepszym rozwiązaniem kwestji byłoby, żeby wychowawcy klasowi prowadzili ewidencję uczniów, pobierających czasowo lekcje domowe i ewidencję odnośnych korepetytorów, żeby ci korepetytorowie utrzymywali kontakt ze szkołą, przed którą byliby odpowiedzialni, zarówno za rezultaty, jak i za czas trwania pomocy, żeby przy

końcu dostawali poświadczenia odbytej pracy, wystawione przez wychowawcę klasowego i opiekę domową i żeby bez tych poświadczeń nie mogli otrzymywać lekcji prywatnych.

Szkoła zatem podaje wniosek, co do potrzeby pomocy domowej, szkoła, prowadząc, ewidencję dobrych korepetytorów, poleca siłę odpowiednią i szkoła wreszcie, wraz z opieką domową, wystawia nauczycielom poświadczenia, jak się z zadania wywiązała. Między szkołą, korepetytorem i domem istnieje stały kontakt. Jeżeli dany pedagog, skądinąd dobry, nie nadaje się do danego ucznia, — a takie rzeczy nieraz się zdarzają, — należy bez skrupułów zastąpić go innym. Cel, o który tu chodzi, jest poważny, aby jakiegokolwiek względy towarzyskie, a choćby nawet humanitarne miały stanąć na przeszkodzie. W tej chwili bowiem nie obchodzą mnie zupełnie stosunki ekonomiczne nauczycieli domowych. To jest ich sprawą. Podejmując się pracy trudnej i odpowiedzialnej będą musieli upomnieć się o odpowiednie wynagrodzenie. Za

przykładem innych grup społecznych utworzą zapewne czasem organizacje zawodowe, które staną na straży, zarówno ich praw, jak i obowiązków.

Nasuwać się pewne pytania: czy wystarczy nam dobrych nauczycieli? a z drugiej strony, czy stać będzie przeciętny ogół rodziców na odpowiednie ich wynagrodzenie? Ależ naturalnie! Jeśli usuniemy wielką ilość korepetycji niepotrzebnych, jeśli czas trwania drugich znacznie ograniczy-



my, zmniejszy się zapotrzebowanie korepetytorów. Co się zaś tyczy strony ekonomicznej, — to rodzice z pewnością lepiej na tem wyjdą, gdy zamiast źle opłacać lichą pomoc przez długie lata, opłacać będą dobrze owocną pracę przez czas ograniczony.

Znając wszechwładną siłę zakorzenionych przyzwyczajeń społecznych, nie ludzę się, że te skromne słowa trafią odrazu do przekonania tych, do kogo należy. Ludzie nie lubią, aby im zakłócano spokój. Być może więc — wywołam niezadowolenie zarówno szkoły i rodziców, jak zwłaszcza większości korepetytorów. Ale toby właśnie było to najlepsze, co by tę pracę spotkać mogło. Niezadowolenie bowiem bywa kolebką reform i postępu.

Kto ma się zająć tą akcją? Powiedziałam już na wstępie: w pierwszym rzędzie matki. W jaki sposób? przez prasę, pogadanki, wiece i t. d.

A sprawa naprawdę warta jest największych wysiłków, boć chodzi przecież o to, co najważniejsze — o szczęście przyszłych pokoleń!

K. S

OPIEKA NAD MACIERZYŃSTWEM

Instynkt zachowania gatunku jest cechą biologiczną wszystkiego, co żyje i nie jest skazane na zagładę w historii naturalnej świata. U zwierząt, niezorganizowanych w społeczeństwa, przejawia się on, jako opieka indywidualna rodziców nad młodem. U ludzi, gdzie życie jednostek i społeczeństwa wzajemnie się splata i łączy, społeczeństwo musi nieraz przychodzić z pomocą instynktowi, którego przejawy indywidualne są hamowane przez wymogi życia bardziej skomplikowanego. Taką właśnie pomocą jest opieka społeczno-państwowa nad matką i dzieckiem.

Dzieckiem, jako przyszłością rasy, — matką, jako materialem i narzędziem, które je tworzy. Zdrowie dziecka zależy w znacznym stopniu od zdrowia rodzicielki, toteż dla polepszenia rasy trzeba stworzyć zdrowe matki.

Opieka nad matką powinna się rozpoczynać od opieki nad dziewczęciem, od badania specjalnych potrzeb organizmu dziewczęcego i stosowania tej specjalnej i ogólnej higieny do życia dziewcząt w przemyśle, szkole i t. p. Współczesna jednak opieka nad macierzyństwem nie sięga tak głęboko. Rozpoczyna się ona dopiero z chwilą, gdy kobieta ma zostać matką. — Cóż dać ona powinna, aby naprawdę zapewnić możliwie najlepsze warunki matce i jej przyszłemu dziecku? — Przedewszystkiem normalny, zdrowy byt materialny i spokój moralny. A więc, ponieważ kobieta ciężarna nieraz czuje się przez czas dłuższy chorą i zmęczoną, nie ujawniając przytem żadnych, nawet dla

lekarza widocznych, objawów chorobowych, powinna ona mieć prawo porzucenia pracy zarobkowej na własne żądanie i objęcia jej na nowo po przyjsciu do zdrowia *).

Nie wolno jej (nawet przy własnym żądaniu) pracować w nocy i w zawodach trujących, szkodliwych dla matki i płodu. Nieraz kobieta traci pracę i dach nad głową z chwilą, gdy stan jej stanie się widocznym. Musi ona ten dach, kawał chleba i zdrową pracę znaleźć w specjalnie urządzonych oddziałach i domach dla ciężarnych, które nie jednej z nich pozwolą ukryć się przed obmową świata i zapewnią choć trochę spokoju moralnego, niezbędnego w tym ciężkim okresie życia.

W takich oddziałach, domach, lub specjalnych przychodniach, każda, mająca zostać matką, kobieta powinna otrzymać opiekę lekarską i wskazówki higieniczne, tyżące się jej stanu, sposobu przebiegu choroby i chowania niemowlęcia. Na czas porodu kobieta musi mieć zapewnione, albo miejsce w zakładzie, albo fachową opiekę w domu; poatem wykwalifikowaną pielęgniarkę, która zajmie się domem i dziećmi, chociażby przez parę godzin dziennie (we

Francji istnieją t. zw. „gniazda dziecięce“ t. j. zakłady, gdzie można umieszczać dzieci na czas choroby matki).

Takie zastępstwo jest niezbędne, bo czyż kobieta może mieć spokój moralny, bodaj w najlepszym zakładzie, jeśli dom i dzieci zostawiła bez opieki. W domu nie ma nawet spokoju fizycznego, jeśli musi sama czuwać nad dziećmi i gospodarstwem.

Po wydaniu na świat dziecka, kobieta w najlepszym wypadku jest rekonwalescentką do 6-ciu—8-miu tygodni. Chociaż po 7-miu—14-tu dniach z łóżka się podnosi, nie może powracać do systematycznej pracy w ciągu tego okresu rekonwalescencji, pod groźbą nabycia zbroczeń i dolegliwości chronicznych. Z dniem przyścia na świat niemowlęcia, rozpoczyna się okres karmienia.

U nas, w Polsce zwyczaj karmienia dzieci przez własne matki jest powszechny. Nie karmionych piersią jest na szczęście zaledwie 3%. Mówię „na szczęście“, bo przy niskim stanie naszej kultury, śmiertelność niemowląt, karmionych sztucznie, w sferach niezamożnych jest szalona (7 razy większa, niż wśród karmionych piersią). Te właśnie sfery stanowią większość narodu.

Aby ułatwić karmienie matkom pracującym, trzeba je zwalniać z pracy jeden, lub 2 razy dziennie dla nakarmienia dziecka i zakładać żłobki dzienne przy instytucjach, zatrudniających większą ilość kobiet, gdzie niemowlęta pozostają przez czas pracy matek. Aby zdrowie i życie niemowlęcia nie było zagrożone wsku-

*) Jako skutki nadmiernej pracy w czasie ciąży widzimy cięższy przebieg porodu (statystycznie stwierdzony większy odsetek operacji) i gorszy rozwój płodu. Szczególnie ważnym jest odpoczynek w samym końcu ciąży. Noworodki, których matki nie pracowały w ciągu ostatnich dni 10-ciu ważą przeciętnie o 1/4 kilo więcej niż te, których matki pracowały do chwili porodu. (Statystyka zbierana wśród robotnic).

tek pracy jego matki, trzeba, odjętą mu opiekę macierzyńską, zastąpić przez inną, równie dobrą, albo i lepszą! Taką opiekę powinny dawać przez czas zajęcia matki wyżej wspomniane żłobki przy instytucjach, oraz żłobki zakładane przez miasto, czy gminę dla matek, które nie mają ich przy swoich warsztatach. Wreszcie konieczne są Domy Matki i Dziecka, gdzie bezdomna matka znajdzie schronienie wraz z niemowlęciem, a umieści swe dziecko matka, która przez pewien czas sama zajmować się niem nie może.

W takich wzorowo prowadzonych zakładach, powinny się kształcić odpowiednie pielęgniarki i niańki, a także przyszłe matki. Bowiem

z jednej strony musimy mieć kogoś, kim się matka może bez szkody dla dziecka wyręczyć, z drugiej—musimy obronić dziecko przed wielkim niebezpieczeństwem, jakim jest matka



MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Uduchowanie jest dzieckiem boleści. Uduchowanie jest tym wspałym skarbem, który nam wypracowała nasza ciężka wiekowa dola niewolnicy, zmuszonej do dyscyplinowania zmysłów. I tego skarbu, tej swojej niezaprzeczanej wyższości nad mężczyznę zaczęła się wyrzekać *nowa kobieta*? Zamiast żądać od mężczyzny równego z nią obowiązku, kielznanania namiętności, nałożenia na swoje obyczaje rygorów moralnych—ona zażądała dla siebie równego z mężczyzną prawa rozpusty. I, jak powiadają dziś mężczyźni: zniknęła właściwie kokota—bo znikła ostra granica pomiędzy nią, a kobietą uczciwą.

Łatwo potępiać tym, którzy już życie przeżyli—lub, którym samo przez się, dobrze się ułożyło to życie! Ale postawmy się w położeniu tej bujnej, kwitnącej młodości, która nie chce rezygnować ze szczęścia, która za wszelką cenę chce żyć, chce kochać. —Więc chwyta się środków rozpaczliwych, aby zwyciężyć straszliwego głowonoga, który wydziera jej Miłość, niewidzialnymi, śliskimi ramionami sugestji, opasuje niemi ofiarę, aby ją wyssać i zwrócić chyba jako *épare*...

Oto jest wielki tragiczny konflikt pomiędzy światem kobiecym, a światem męskim: mężczyzna wdeptuje w ziemię obojętnością swoją najpiękniejsze kwiaty świata kobiecego—swoją niełaską skazuje je na nędzne wegetowanie w cieniu odrzuceń i zapomnień, — a premjuje swoim wybojem i wyprowadza pod ramię w najwyższe regiony życia i usadza obok siebie na wzniesieniach prezydjalnych kobietę, jeżeli nie złą, nie demoniczną, to conajmniej *lale* porcelanową, malowaną, bezduszną, lub *zwierzátko* o instynktach elementarnych, które jest moralnem zerem:—*Lala*, *zwierzátko* lub *demon*—oto są ulubienice męż-

czyzny, który z nich rekrutuje arystokrację kobiecego świata: *królowe jego*, władające mężczyzną, a przez mężczyznę światem.

Pomiędzy *Królowami* Kobiecego Świata, a jego szarym ogółem jest niezgłębiona przepaść różnic... jest antagonizm interesów. *Królowe* są konserwatystkami, bronią status quo ante. Istotnie—emancypacja?—a pocóż to?... Od kogo one się mają wyzwalać? Od swego pokornego, wernego niewolnika, który dla nich pracuje w pocie czoła, jak biały murzyn?

Mężczyzna to jest ten żuk, o którym Fabre opowiada, że żywi się sokiem samych najśłodszych owoców, a gdy mu się już uzbiera ulepu pełen brzuszka, podpełza pod niego inny owad, przekłują mu go swoim sztylcikiem i całą zawartość wypija, pozostawiając pustą szabaturkę martwych zwłok.

Pocóż miałby się pasożyt uwalniać od grzbietu, na którym siedzi?!

Żeby administrować osobiście własnym majątkiem? Kpiny! — przecież *on* nim zarządza tak, jak intendent lub pełnomocnik zarządza majątkiem jaśnie pana, bo ten się nie chce sam fatygować, ani przyłożyć uwagi do spraw nudnych, a skomplikowanych.

Emancypacja jest dla bogiń złym interesem. Przedewszystkiem, falanga zgłodniała obniży dochód mężczyźnie, który będzie *mniej zarabiał dla swojej pani*. Grosze, które się rozejdą po tych biednych, szarych kieszonkach, na chleb powszedni, *ujmą* jej nieco koronek i wycieczek zamorskich, praca lepiej płatna i niezależna powypędza jej z domu nieszczęsne wdowy, zrujnowane, ubogie stare panny, zdejmujące z niej, za jakieś nędzne wynagrodzenie, wszelką fatygę, nawet podniesienie z ziemi upadłych pod stopy nożyczek.

zupełnie nie przygotowana do pełnienia swych obowiązków. Stacje opieki i „Kropla Mleka“ powinny systematycznie kontrolować stan zdrowia niemowlęcia, w razie potrzeby wydawać odpowiednio przygotowane mleko, matkom udzielać wskazówek i wysyłać do domów specjalne pielęgniarki, dla pomocy niedoświadczonym matkom.

Matki nieślubne pozatem, winny nie tylko korzystać z prawa poszukiwania ojcostwa, lecz otrzymywać w tym względzie pomoc władz państwowych i komunalnych.

Cóż ma z tego wszystkiego macierzyństwo polskie?

(c, d. n.).

Dr. med. Zofja Garlicka.

Mężczyzna, który ma pełne oczy uszy i głowę „swojej pani“, jej cechy i jej do niego stosunek przenosi na cały Świat Kobiecy — Więc nie posiada się z oburzenia... Jakto, to *on* ma być egoistą?—*on*, który wszystko kobiecie oddaje, co zarobi?... *on* który haruje od świtu do nocy i do drugiego świtu, lata za pacjentami, za klientami, spocony, zziębnięty, bez obiadu, lub przyrasta do biurowego stołka, łysieje, dostaje defektów, dostaje wady serca i pada nagle, jak wół roboczy, przy orce, ażeby ona miała zawsze tę jedną perłę Urjańską do rozpuszczenia codziennie w kielichu wina.

To *ona* jest przepracowaną?!.. Ona, która tak się zmęczyła urodzeniem jednego dziecka (którego nie karmiła i nie wychowuje), że od tej chwili do końca życia nic już więcej nie robi, tylko „prowadzi kurację“. Ależ ona literalnie niczem się nie zajmuje,—pracą jest narada z modniarką wizyta u dentysty i urządzenie dobrotę czynnego tańcowania, lub kombinacje: „co zrobić z latem?“

To *ona* się poświęca?!... A no, tak: jeżeli jej moda każe wsadzić głowę w naparstek—to ją wsadzi,—zdobywając palmę męczeńską!

To wszystko jest przecież—świętą prawdą!

Ten „słodki kociak“, o nosku zadartym, cienkim głosiku i jasnych lokach—to jest *wampir*! Tu trzebaby było wyzwalać mężczyznę—wziąć go w obronę od wyzysku!...

Ale dla czegóż to *on* *pokochał* tę *lale*?—to *zwierzátko*?—tego *demon*a? i kocha go z takim poświęceniem i tak wiernie, jak nie bywa kochaną kobieta dobra... minawszy obojętnie po drodze życia niejedną zapewne *Madonnę Mery*!

Gazety ogłosiły niedawno małżeństwo młodej belgijki, która poślubiła z miłości człowieka bez obu nóg i bez jednej ręki: bohatera.

Jeśli się pokocha duszę, dla jej miłości darowuje się jej ciału wszelkie jego braki.

Wzywam roczniki całego świata, całej historii, czy zanotowały kiedykolwiek coś podobnego u mężczyzny! Nie! — bo mężczyzna kocha ciało i dla jego miłości zgadza się na wszelką duszę, jaka się w nim zdarzy, najniższą i najgorszą...

Swatki japońskie proponują Loti'emu „coś osobliwszego” — jest to młoda dziewczyna, o twarzy czarującej i tajemniczej, jak księżyc i która na konkursie poetyckim, wzięła pierwszą nagrodę za poemat „Groszek kwitnący na sztachecie” — ale, która, niestety, posiada jeden feler: brzydką na szyi szramę. „Ooo...”, — odpowiada Loti, — może być sobie bardzo słabo zaawansowaną w poezji, — ja tego wcale nie wymagam, — byleby nie miała nigdzie żadnej brzydkiej szramy... „Hab'selber Seele genug” odpowiada Heine — Sokrates pomimo swojej brzy-

doty satyra nie był bojkotowanym przez Hetery, cieszył się pono względami Aspazji, — ale Safona nie była nigdy kochaną przez mężczyznę, ponieważ była bardzo chudą!

„Ach, ta dziewczyna rzucała mi perły do duszy” rozpacza młody książę („Pieśń Przerwana” Orzeszkowej), gdy biedna szlachcianka, idealne, cudne dziewczę, odkrywając podstęp, (książę podawał się za swego oficjalistę) z rąk mu się wymknęła... „No, to się Książę z nią ożeń” — radzi mu sekretarz. Tu następuje mistrzowski strych psychologa: samobójczo nastrojony Książę wybucha pustym, we-

sołym, niepohamowanym śmiechem... „Wiesz, mój drogi, że tybyś umarłego rozśmieszył!” Rada była dlatego tak komiczną, że książęta nie żenią się przecież z biednymi szlachcianeczkami, które im „sypią perły do duszy”?... A gdyby tak chodziło o jaką cyrkówkę, wytarzaną we wszystkich gnojówkach życia?!... rada nie wywołałaby takiego efektu: bo z takimi książętami się żenią...

To jest stare, jak świat, powszechne, jak świat i tak ograne, że umysł nasz przestał już fakt ten postrzegać. A jednak — jeśli mężczyzna będzie zawsze tak kochał?!... to będzie wciąż — przeprowadzać w świecie kobiecym selekcję na korzyść „Najniższego Życia” (jakby powiedział Nitsche). — Los kobiet może go nie obchodzić, — ale niech pamięta, że to „Najniższe Życie”, które on sam wyprowadza z nizin na szczyty, to jego pan, jego Władca, który go opasuje cichemi, niewidzialnymi, i niewyczuwalnymi ramionami wszechmożnej sugestji, powala go sobie pod nogami, depcze, wysysa i moralnie obniża.

(c. d. n.)



MARJA NIKLEWICZOWA

BERYL MARYJI Z MAGDALI

RAMA

Ręce bursztynowe
kręgiem wzniosła nad głowę;
(—I poleciały rajske ptaszęta, hej leluja!)
Błękitny ogień pełga, pali się, pali
w smukłych palcach, w różanych paznokciach Maryji z Magdali;
(—I otrzęsły te złote rzęsy, hej leluja!)
Wiatr rozwiewa, rozsnuwa, rozpromienia jej włosy,
A za tą siecią,
ujętą w bursztynowy krąg
smagłych rąk:
radosne cudnie
MORZE
jak najżarliwsze na niebie południe.



CZĘŚĆ PIERWSZA

GOHAR, MAŁY ŻEGLARZ Z JOPPY

Gohar, mały żeglarz z Joppy

którego lepianka przy morzu,

pod sykomorą,

którego ojcem — moj Boże! — tułacze, żeglarze
czarni, oliwkowi, biali,

z Selencji, Tarentu czy Halji,

matka — żebraczką chorą,

a siostrę, dziewczátko śmiałe, do Antjochji zabrali
dla wielkiego pana Korneljusza.



Powiewy w porcie

Dla lin — śmigły maszt, dla żeglarzy — reje,
dla fal dalekich liburny, tryramy
i wicher wieje.

— A po czemu te daktyle, po czemu granaty?
A ten kołczyk w twojem uchu, handlarzu brodaty?

Dla stóp — wparcie w łódź, dla garści — wiosła,
dla nozdrzy piana, a dla oczu zieleń,
co ją naniósł.

— Może weźmiesz mnie na północ, w zimne morza,
[powiedz?

Możesz ty jest moim ojcem, ty w kożuchu z owiecz?

Rzymianin czy Trak, Etyop, Scyt, czy Gall,
byle chciał zabrać daleko, najdalej,
za ostatnią z fal...

Odpyływ

Na dnie okrętu w czarnej kałuży
gniją sparciałe oślizgłe liny.
Jakże noc się dłuży!

Kadłuby łodzi wczoraj smołowano;
leżą, zaryte w piach i morszczyzny.
Kiedyż będzie rano?

Mały Gohar jak kormoran brodzi;
język fali sunie i powraca,
śród rozrzuconych łodzi;

zaś tam, gdzie morze otwarte bez granic,
rzucona w piasek szatami mokremi
(wszystko, wszystko na nic!)

szłochą bezgłośnie Maryja z Magdali.
Chrysta, jej Chrysta anieli zabrali!
(—Zielony księżyc na fali.)

Biedna Maryja

—Czemu płaczesz, czemu płaczesz, Maryjo,
a twe włosy pośród muszli się wiją,
Maryjo?

Czy mały rybak może podejść bliżej?

Ludzie mówią, żeś miłości uczona,
że jak ambra twe płomienne ramiona,
że pantera w Magdali mieszkała
i pod głowę prężne boki ci słała,
a struś płowem cię skrzydłem wachlował
i żar-ptaki wily gniazda u pował,
zaś lilije i róże Saronu,
jak pochodnie gorzały przy domu;
że, gdy umarł twój młody lutnista,
grał na cytrze Jan Ewangelista,
osypany migdałów płatkami...

O czym wówczas mówiliście, sami?

Kto cię skrzywdził, kto cię skrzywdził, Maryjo?
Czy cię dręczą chrześcijanie, biją
ciernistemi różgami, pletniami?
czy to każą nieść apostołowie
dżban od studni twojej złotej głowie
w dni upalne rozżarzoną drogą,
gdy cyprysy cienia dać nie mogą,
i spragnione szare tamaryski
rażą w słońcu, jak czekanów błyski?
A gdy mijasz kaktusowe pola,
czy im nie żal twoich stóp i kolan?
Czy już nikt i nikt się nie utali,
nie upieści nikt, prócz nocnej fali
Maryji z Magdali?

—Czy mały rybak może być przy tobie?

Wykonanie wyroku

Czarna, cuchnąca, charcząca, spotniała
ciężba przywlekła ją—skłęła—wysztureczała;
za nią Martę z oczami zgaszłemi
i Łazarza, co miał ręce urobione w ziemi,
Maksymina, Martyllę, Cedona,

i innych, których nieznane są imiona;
zaś obcy żeglarze z portu patrzyli, mówili:

„Parszywi Żydzi znowu się pobili!

Oni łódź Szymona

już z wrzaskiem na wodę spychali,

uwiesili się u żagli,

(maszt się zachwiał, trzeszczała reja)

zerwali!

ster wysadziły drgające remiona,

i z chlusem upadł na wodę.

Na łódź rzucili Maryję z Magdali,

mężczyzn paru, dwie kobiety młode,

Maksymina i Martyllę i Cedona.

(Domu chrześcijan nie oszczędzili:

łódź po burty była zanurzona).

A skoro mały Gohar z oczami złotemi

prosił, by Magdalene zostawiono na ziemi,

porwali go za łachman, za szorstką czuprynę,

(chichotał żebrak stary)

i z czerwonym bluzgającym chargotem

dorzucili,

potem,

iż łódź zbyt pełna w płytkie dno się wparła,

weszli do wody po bary

i zepchnęli na głębie...

Upalna piosenka

Jam wasz sternik bez steru i wiosłarz bez
[wiosła,
wy okrętu ładunek—illa illa ho!

W przegubach fal są cienie lazuruowe.

Gdy przyjdzie orkan, mnie będziecie pytać,
czy zdzierży statek—illa illa ho!

Na grzbietach fal są iskry złotopłowe.

Czy was zawiozę na Syrtę, czy Krete,
Ja was zawiozę—illa illa ho!

Parzy mi łokieć rozpalona rufa.

A gdy na obcym brzegu osiadziemy,
Ja go rozpoznam—illa illa ho!

Krótki cień masztu chwieje się u stóp.

Harce wichrów

Przyleciał Afryk z zachodu
z zielonemi mokremi skrzydłami,
przyleciał Kor z południa
i siekł piachem żarzącym, jak skrami,
aż łódź jęczała miotana,
i modlili się głośno do rana.

Dnia pierwszego—tłomoki ubogie,
nazajutrz wyrzucili reje,

dnia trzeciego—i maszt, i liny,
bowiem wszelką stracili nadzieję.

Lecz najsroźszej nie bała się fali
zapatrzona Maryja z Magdali.

—Aż nareszcie przybili do Galji.

Oprócz starej łodzi jeszcze dar

Maleńki żeglarzu, siądź przy mnie, posłuchaj
co ci powiem, Grzeszna Maryja.

Kiedym chodziła w bisiorach, klejnotach,
ja—wszystkich i niczyja —

On spojrział, przechodząc cicho
na beryl u mojej szyi,

zdobyty w wilgotnym, dalekim Hindustanie,
przez kochanka, o sercu żmii.

A gdy spojrział, zapłonął kamień

i wołał mnie odtąd blaskami

w dalekie, dalekie morza, przestworza,

za nami, przed nami, nad nami...

Mym niewolnikom oddałam winnice,
i dom, i sad w Magdali,

kobietom—szaty, łańcuchy, manele,

sznury turkusów, koral,

maleńkiej tancerce tam, w Jeruzalemie

ciężemki pacbnące saffianem,

i tylko ten beryl został lazuruowy,

co ongi zapłonął przed Panem.

I ten mam oddać; tobie go oddaję.

Tęsknoty w nim moc ognista;

na twoją hardą kędzierzawą głowę

niech spłynie łaska Chrysta.

Targi

Tak, łódź ta zdaleka mnie niosła!

Dasz ster i długie wiosła,

żagiel jej dasz purpurowy,

miedziany czub, maszt cedrowy,

i reję, co niebem, jak strzała,

będzie z dygotem leciała;

i dasz, Ozjaszu stary,

w tej cenie talizman na czary.

W zaprzątych kantorkach, nocami,

z monetami, miarami, wagami,

wy, kupce marsylskie chytne,

wy z pazurami szakali,

na kamień takiej wody

wieki-ście, wieki czybali!

Wyrzut

Dwie rybitwy, dwie rybitwy śmigłe:

jedna chwiała się w niebie, wołała,

druga codzień na maszcie siadała,

maleńka, prawie biała.

Jedną wyspy dalekie znęciły,

druga spadła na pokład bez siły,

miała piórka puszyste, jak włosy,

a na dziobku słodką kroplę rosy.

Żeglarz pytał, czy to łaska Pana!?

Martwą tulił na piersi do rana.

GENJUSZ A NIESZCZĘŚCIE

W jednym z feljtonów swoich *) każe Marja Grossek-Korycka modlić się matce, kołyszącej swoją nowonarodzoną córeczkę, aby Bóg zrobił ją „zwyczajną kobietą“, bo genjusz przyniesie jej nieszczęście.

Czy tylko genialna kobieta ma być nieszczęśliwą?...

„Od dziecka nie byłem, czem byli inni, nie widziałem, co widzieli inni. Ze wspólnych źródeł nie mogłem czerpać trosk i namiętności swoich. I serca swego nie mogłem dostroić do tonu radości ogólnej. Co ukochałem, kochałem tylko sam jeden“ — woła Edgar Poë, ten może najdziwaczniejszy, ale przepiękny genjusz demonicznych wizji w wierszu swoim, „Alone“ (Samotny).

Nie może być radosny wieszcz, artysta, uczony genialny, bo droga jego samotna. Wieczny buntownik, rzucić musi tych, co chcą iść z nim razem, lub oni go rzucają, nie rozumiejąc.

Z setek tysięcy pół talentów powstaje ten jeden olbrzymi, który wykwiła raz na sto lat i wchłania w siebie wszystek ból świata, czasami radość, bo ból jest piekącą pułstynią człowieka — wędrowca, a radość — dorywczą, gdzieś znienacka przyczajoną oazą, której zew w harfie głosów brzmi silnie, ale rzadko.

Czy mógł być szczęśliwy Michał Anioł, choćby odrażająca brzydota nie odsunęła od niego kochanki?... Czy sny o potędze pozwoliłyby mu na cichą radosną pieśń miłości, która przyszyła, ale gdy dusza jego już była blizka dokonania poczyniła swoich...

Nikomui niewiadome są cele kańczystych złomów, po których stąpają genjusze, czerpiąc z życia zaródź twórczych swoich przeznaczeń.

Co w nas nikłe, drobne, małe, co rozmięka się na tysiące powszednich trosk znikomych, zeslizgując się po nas, jak zjawia widoma po tafli zwierciadła, to u apostołów prawd wiecznych rozbrzmiewa grozą ich niepojętej męki.

Im wyższe loty, tem bardziej zdruzgotany człowiek. Obłądem skończył Schumann i Weininger, pijaństwem Poe i Hoffmann, suchotami — z nędzy i krwawego wysiłku — Mozart, Grottger, Norwid; zmarł na wygnaniu Byron, skonał w więzieniu Wilde; wpadł w mękę potępieńczej choroby Beethoven, Krasiński, Heine; szukał ukojenia w metafizyce Mickiewicz, Słowacki pyszny i dumny Hoene—Wroński. Szarpali się wszyscy w niezrozumieniu przez tłum.

Genjusz równowagi?... Był nim Goethe, który rozumiał wszystko: ból i radość, mękę Werthera, rozkoszną sielankę Hermana i Doroty... Zimny mózgowiec, dworak układny, przemądry snob, a potężny myśliciel, którego

podziwiał cały świat, ale kocha chyba tylko Niemiec — monista, bo w harfie jego niema bezdnie uczucia, jest tylko rozum genialny. Goethe nie cierpiał i w dworskiej swej służalczości, w drobnych miłostkach aż do końca był szczęśliwy. Wielki, zimny duch germański, który z życia brał tylko zadowolenie i dobrobyt, a smutek swój realizował w skargach Werthera, za którym poszło tysiące młodych istnień...

Prototypy zrównoważonych genjuszy miała Grecja. Były radosne zjawy w epoce Odrodzenia: bardzo zimny Rafael i paru innych — z rodu pastuszków. Pozatem jakżeż strasznie cierpieł Schiller, Shelley i wszyscy bez wyjątku romantycy!... Jak każdy ponury akord żywcem był wyrwany z głębin ich zbolanych dusz!...

Najmniej męczyły się i cierpiały genialne kobiety. Georges Sand, jak smok, pożerała młode dusze i młode życia poetów, artystów, żeby brać ich udrękę na warsztat swych powieści — Musset, Chopin...

Orzeszkowa, Konopnicka żyły, tworzyły, szarpiąc się. Cudna dusza Zmichowskiej miała swoje wielkie zwątpienia i smutki, ale pod koniec „słońce obróciło się ku niej i uśmiechnęło“. A te uśmiechy, jak przez łzy, przewijają się poprzez tęsknotę jej poetyckich wizji.

Zofja Kowalewska — genialna matematyczka, autorka pamiętnika, który był wielkim taranem, wałącym w hasło „wyższej nauki dla kobiet“...

Stały już otworem jej wrota, a jeszcze spowiedź Kowalewskiej pokutuje, jak duch błędny, ostrzegając: „nie tędy drogą!“.

Padła na duszę tej rosjanki rozterka: rzucił ją człowiek kochany, nie mogąc pogodzić się z wielkością jej i sławą, a ona — cisnęłaby mu pod nogi wszystkie triumfy swoje, aby tylko został.

Kłamstwo. Bo oto obraz. Wyrzeka się dla ukochanego katedry, zaszczytów, cała oddana miłości. Ale po roku, a może po miesiącu, następuje przesyt i spływa pałacą tęsknotą za nauką, za sławą. Rozpoczynają się wyrzuty, sprzeczki i wielka matematyczka płacze, jak najpospolitsza kurka domowa. Wreszcie intelekt zwycięża. Z kolei ona rzuca kochankę, czy męża i wraca do nauki, do sławy.

Głos powołania silniejszy jest ponad wszystko. I nie mogło stać się, aby najwiesz genjusz kobiecy, jaki dotychczas wydała ludzkość, aby Marja Skłodowska, zostawszy w Warszawie, nie poślubiwszy Piotra Curie, życie swoje strawiła — jak przypuszcza M. Grossek-Korycka — na chodzeniu po lekcjach, w przydeptanych pantoflach i zmiętym filcowym kapeluszu, bo Marja Skłodowska urodziła się już do wielkich, szczytnych swych przeznaczeń,

bo nad kołyską jej stanął anioł, wieszcząc:

„Czynem swoim zadziwisz świat!“.

A ona miała tę siłę w sobie, że szła za pomazaniem swoim; szła wielkim, twardym mocnym krokiem poprzez zwały przeszkód, jak każdy potężny wolał genjusz. W zimnej nieopalonej izdebce paryskiej snuła sny swoje górne. A im więcej dokuczała bieda, tem namiętniej oddawała się pracy. Odkryła już polon i uran, gdy poznała Piotra Curie, który zajmował się wówczas mineralogią, optyką i elektrycznością.

Po ślubie prawie nie uległy zmianie jej warunki materialne. P. Curie zarabiał 300 fr. miesięcznie za ledwie, pod koniec życia bowiem dopiero otrzymał pensję profesorską. Młoda żona musiała sama zajmować się gospodarstwem i dziećmi, kradnąc chwile, nadludzkim wysiłkiem zdobywane, dla dalszych prac swoich naukowych, w nędznej szopie z dziurawym kominem, źle odprowadzającym gazy trujące, w szopie, która nosiła szumne miano „laboratorium“.

Marja natrafiła na ślad radu. Olsniona hipotezą, pociągnęła do prac swoich męża, który rzucił — na razie, jak sądził — dotychczasowe swoje badania i jał się pracy wspólnie z żoną.

W 1898 r. ogłosili światu wielkie swoje odkrycie. Kto głównie przyczynił się do niego?

Nie ulega wątpliwości — Marja Curie, bo jej dziełem były drogowskaz i pierwsze zdobycze badań i pociągnięcie za sobą Piotra Curie.

Zresztą, nie zależało ani jej, ani jemu na przywłaszczeniu sobie wawrzynów. Pracowali dla nauki z tem zaparciem się wszystkich osobistych interesów i względów, jakie bywa udziałem najwyższych i najbardziej bezosobowych genjuszy.

Dziś dopiero w książce p. t. „Piotr Curie“, napisanej przez Marję Curie *) widzimy dokładny obraz dróg i dziejów dokonanego wynalazku.

Wspomnienia i autobiografia Marji Skłodowskiej-Curie wykazują nadludzką potęgę siły woli, energii, wytrwania i wiary w pracę swoją genialnej polki. Czy byłaby spotkała Piotra Curie, czy nie — dzieło w niej poczęte byłoby musiało stać się zjawą, bo dla spełnienia go przyszła na świat i klątwa zaciążyłaby na niej, gdyby przez lenistwo, apatię, lekceważenie powołania swego, niewiarą w siebie, lub zaprzatnienie drobnymi sprawami życia — była odchyliła się od linii potężnych zadań swoich.

Praca państwa Curie to jeden dowód więcej przedziwnej harmonii intelektu męskiego i żeńskiego.

*) „Bluszcz“ № 10 r. b. „Świat Kobiecy“.

*) „Bluszcz“ poda sprawozdanie z niej w jednym z numerów najbliższych.

Były już przykłady. Jedną wielką salę Muzeum Luwru zajmują zbiory pp. Dieulafoy, którzy — wysłani przez rząd francuski — razem długie lata robili poszukiwania archeologiczne i etnograficzne w Persji i przywieźli do kraju niażytkie cenne wykopaliska. Współpracowniczkami mężów były panie: Condorcet, Michelet, Edgar Quinet. Współ z bratem swoim, słynnym astronomem, pracowała Karolina Herschel, która na swoją rękę odkryła osiem komet. Dopomagała mężowi — po za samodzielniemi swemi badaniami — Lady Anggins, pierwsza kobieta mianowana

członkiem honorowym T-wa astronomów w Londynie.

Przykładów współpracy kobiet i mężczyzn w dziedzinie literatury i sztuki możnaby przytoczyć dosyć dużo w epoce odrodzenia i romantyzmu.

Ale — do genialnych jej wyników przyczynić się musi przede wszystkim bezinteresowność obu stron — cel i dobro nauki w imię dobra ludzkości, jako jedyne drogowskazy.

Tak pracowali małżonkowie Curie. Wielką nagrodę Nobla, otrzymaną w 1903 r. pochłonęło całkowicie urządzenie laboratorium.

Wszystko oddali światu. A mogli byli stać się magnatami, opatentowawszy swój wynalazek.

Więc, matko, pochylona nad kołyską dziecięcia swego — chłopca czy dziewczynki — módl się nie o to, aby twoje maleństwo nie było zwykłym zjadaczem chleba, ale o to, aby miało wolę, hart, siłę, wytrwałość, wielkie ukochanie tych darów, wielkie ukochanie ludzkości, której ma służyć niemi i twarde postanowienie niezmarnowania żadnej siły ducha.

O to módl się matko dla nowonarodzonego skarbu swego!

C. Walewska.

JERZY SZANIAWSKI

KOLOROWE SZKIEŁKA

NOVELKA

Posadzki w pałacu froterował człowiek młody, co nosił nazwisko skromne — Kubek. Ten sam człowiek młody czyścił okna. Jak mówiono — Kubek miał się niegdyś „kształcić”. To znaczy, chodził do szkoły z kolegami, którzy zostaną w przyszłości „czemś”. Umarł ojciec młodego Kubka, stary i doświadczony froter, nie zostawiając synowi pieniędzy na kształcenie, tylko dwie szczotki, bibułę do okien i uczciwe nazwisko. Dzięki temu, co zostawił ojciec, młody Kubek znalazł pracę w domach, w których przedtem pracowały nogi i ręce Kubka starego.

Froter, chłopiec wąty i jakby połamany, o włosach krótkich rudawych, obciętych, jak jego szczotki i oczach wielkich, okrągłych — podchodził często do witrażów w pałacu, żeby patrzeć przez kolorowe szkiełka,

Po tymże pałacu spacerował często kamerdyner. Kamerdyner stary, zadomowiony, z siwemi bakami, o którym można powiedzieć, widząc go pierwszy raz — „ja cię już znam”... Bo już się widziało takiego w pałacu, w teatrze, w powieści.

Kamerdyner chodził wolno, leniwie, potem siadał w fotelu wygodnie, głęboko. Do frotera mówił poufale. Nie dlatego, żeby mu chciał okazać swą wyższość, bo ta się sama przez się rozumie, ale tak, poprostu, po przyjacielsku. Mówił, aby gawędzić.

— Ale, że też ty, Kubek, tak długo możesz patrzeć przez to zielone szkiełko... I cóż tam widzisz?... Ogród, ulicę, śnieg. Wszystko na zielono...

— ... Tak... na zielono... I po co tak siebie oszukiwać? Zielony śnieg... Śnieg jest biały, mój ty — Kubek. Był i będzie biały. I ci ludzie, co tam ich widzisz... A ludzie, jak ludzie. Czasem mają podobno zielono w głowie, ale to opowiadania... Nikt tego nie widział. Zielonej mały także nikt nie widział. Opowiadania... Zielona jest trawa.

Tak mówił, aby mówić. Kubek odpowiadał czasem na ostatnie słowa,

ale jakby nieprzytomnie, jakby myśląc o czemś innem.

Któregoś dnia kamerdyner zastał chłopca patrzącego przez szkiełko czerwone.

— Na czerwono, na czerwono widzisz teraz wszystko, mój ty... Kubek... Mój Boże... Jak dziecko. Dziecko, to dziecko — może patrzeć przez kolorową szybę. Ale ty już... wiele masz lat?... Pewno siedemnaście, osiemnaście lat... Już by należało popatrzeć czasem za spódniczką... Ale też nie zadługo. Nie za dużo kochania. Potem należy założyć rodzinę, mieć dzieci. Potem zbierać pieniądze i myśleć o starości. A potem na starość należy więcej myśleć o Panu Bogu, o przyszłym życiu. Bo na wszystko powinien być swój czas. Trzeba pamiętać o swoim czasie. A ty wciąż, jak to dziecko. Przez szybę czerwoną... To nie dobrze, to nie dobrze...

Kamerdyner trochę już był tem zirytowany.

— Teraz, dla odmiany przez żółte... He, he... Chińczyka zobaczysz, co? To nie Chiny mój kochany, to Europa. Świata inaczej nie ustawisz. Na lądy nie należesz, mój ty Kubek, morza. Żółto, mówisz, tam na ulicy? Nie, mój kochany... A teraz zaświeciło słońce i ty myślisz pewno, że cały świat przed tobą jest złoty? Nieprawda, Kubek. A prawdę trzeba widzieć zawsze i we wszystkim powinien być sens.

— A co to jest prawda? Co to jest sens?

Pytanie było nieoczekiwane. I po raz pierwszy coś, jakby zuchwałe.

— Co to jest prawda? Też zapytałeś. Także pytałeś! To dobre... „Co jest prawda?”... A no... prawda, to jest prawda. A sens, to jest sens. Ej... Kubek... co tu z tobą dużo gadać,

Poszedł. A na drugi dzień zastał Kubka patrzącego przez szybę niebieską.

— Chciałbym i ja raz mój ty Kubek, tak jak i ty popatrzeć. Stał mocno, rozkraczył się i patrzył.

— A no... wszystko na niebiesko... A może ty widzisz coś innego? Bo ja

popatrzyłem, powiedziałem sobie — „tam jest niebiesko” — i mam dosyć. Niebiesko, bo niebieska szyba. Zafarbowali ją, panie, to też i nie po ludzku ludziom pokazuje. Ale ty Kubek, coś chodził do klas i miał ojca, co wcale nie był człowiek głupi, ty patrzysz długo. Staniesz przed szybą i patrzysz. Może ty widzisz coś tam więcej?

— Nie. Wszystko na niebiesko...

— I to dla ciebie dosyć?

— Dosyć.

— Ech... A może ci się wydaje, że widzisz niebo? Niebo na ziemi... E, Kubek... Gdyby te wszystkie szkiełka były niebieskie i zaświeciło słońce, może wydałoby ci się, że jesteś w niebie. Chodzisz sobie po gwiazdach, po tych drogach, jak one tam...

— ... Po mlecznych drogach...

— Tak... po mlecznych drogach... idziesz sobie do tej wielkiej gwiazdy, co to na północy...

— ... Do polarnej gwiazdy...

— Tak, do polarnej... A tu po drodze, kobiety święte, białe, a w rękach niosą lilje... I tak sobie chodzisz po niebie... Ale, mój ty Kubek, kiedy sobie tak chodzisz, a wszystko wokół jest święte, niebieskie — nagle czujesz, że gryzie cię coś w łydkę...

— W łydkę?

— Tak. To pchła, Dziwisz się, że pchła w takim lokalu? Zapewne... ale i w najprzypoitszej rodzinie trafi się czasem łajdactwo... A no, ugryzła cię pchła i zapomnisz o niebie i powiesz „psiakrew, coś mnie gryzie”. — Znów będziesz na ziemi.

— E... panie...

— Tak, mój Kubek. Albo chodzisz po tem niebie, a tam na mieście jest twoja dziewczyna. Ładna, kochana, do całowania. I powiedzą ci, że przy tej dziewczynie, tej twojej, tej ładnej, tej do całowania, jest jakiś drugi, taki jak ty — Kubek. Zostawisz niebo i popędzisz co tchu tam, gdzie jest dziewczyna i będziesz chciał zabić tego drugiego Kubka. Bośmy ludzie z tej ziemi... Niebo w górze, a my na dole. Tego odwrócić się nie

da... A wogóle, we wszystkim powinien być sens.

Już więcej nie pouczał stary młodego; Kubek nie patrzył przez kolorowe szybki — bo, prosto — umierał. Leżał samotny w swym mieszkaniu na krańcach miasta. „Pałac” posłał do niego lekarza, kuchcik zanosił mu obiady — słowem postępowano z Kubkiem przyzwyczajenie, a że był sam, to już nie wina „pałacu”, że nie miał Kubek bliskiego serca.

„Trzeba będzie odwiedzić tego...” — pomyślał raz kamerdyner.

Ogolił się, uczesał baki, ubrał starannie, nałożył melonik, wziął laskę — i szedł. Szedł bardziej dystygowany, niż jego hrabia, powoli, z głową podniesioną, poważnie.

„Trzebaby mu coś zanieść” — pomyślał. „Kupić pudełko sardynek?... Hm... jeżeli już taki kiepski, że ma umrzeć, nie będzie jadł... Możeby wódki?... No, nie wiem, czy należy psuć młodych wódką...”

Tak myśląc, przechodził koło kwaciarni. Nie wahał się już, nie rozumował, wiedział, że kupi kwiaty. Nie sardynek, nie wódkę, ale kwiaty. Wszedł do sklepu. Wybrał kwiaty czerwone i żółte. Wybierał barwy czyste, zdecydowane. Po raz pierwszy w życiu barwa dla niego miała swój sens. Oczywiście wyśmiałby takiego, coby mu powiedział, że barwa ma swój sens.

Szedł teraz, niosąc kwiaty, spojrzał na numer domu, potem wchodził po ciemnych schodkach, na których

kwiaty przygasły, otworzył drzwi, pokój jasny — kwiaty zapłonęły — to mieszkanie Kubka.

— Chorujesz Kubek! To niedobrze, to niedobrze.

Niewiele mógł mówić Kubek. Za kwiaty podziękował, a jego wielkie, okrągłe oczy wpatrzyły się w kolory.

Kamerdyner zaczął mówić, ot tak, aby mówić. Wszak to jeszcze nie pogrzeb...

— Cóż kwiaty, kwiaty... Posieli — wyrosły. Jedne są czerwone, bo nie żółte, inne żółte, bo nie czerwone...

Nie kleiło mu się. Przestał mówić. Kwiaty jego były piękniejsze od tego, co mówił. I czuł, że miały w sobie prawdę własną, a nie prawdę, wynikłą z jego słów.

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE”

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

KSIEŻNA WOŁKOŃSKA.

I.

Od stu lat brzmią imiona tych dwóch kobiet, jak synonimy wysokiej cnoty i wierności małżeńskiej. Na dwóch krańcach Europy zrodzone, podobne są do siebie, jak bliźniacze siostry, zarówno tragicznym swoim losem, jak i cudownym sposobem w jaki go nie znosiły, lecz — przewyciężały. Po stu latach patrzą na nas z pod loków staroświeckiej fryzury ich ciemne, do czarnych jagód przez poetów porównywane oczy, dziwnie żywo i swojsko — żywiej może dzisiaj, jak niedawno jeszcze, z za osłon legendy i poezji. Otworzyły się domowe archiwa, tak samo jak państwowe, które pogłębiły tło polityczne, a na tem pęsnem tle, związanem tyłoma niemi z kanwą naszych dziejów, rysują się jasno, odtworzone z drobnutkiej mozaiki listów, codziennych zapisków, postacie kobiet, których życie było „codziennością bohaterstwa i bohaterstwem codzienności”.*) Bluszcze, ale bluszcze, mające więcej siły żywotnej i zieleni od skołatanych burzą pni, które w wiernym oplatały uścisku. „Bólem strawiona, lecz niezwyciężona”, napisał na grobie Teresy Confalonieri wielki poeta włoski, Manzoni.**)

Bliższe są owe cudzoziemki ideologii i polskiej kobiety, bliższe od wielu słynnych awanturnic owej epoki, o nazwisku polskiem, a kosmopolitycznej duszy.

Zresztą, przypomnieć można, że Adam Mickiewicz stał ręką w rękę z ukochanym bratem i historjografem pani Teresy, Gabrielem Casati, burmistrzem Medjolanu, w wiosenny poranek r. 1848 i on to pisał do ludzi bardzo bliskich ks. Wołkońskiej: — *Wasze cudzoziemskie twarze Prawo obywatelstwa mają w mych marzeniach.*

Pod Kijowem w cichej ukraińskiej wsi, urodziła się i wychowała Marja Rajewska: „Maszeńka”, ukochana córka sławnego generała rosyjskiego, obrońcy Smoleńska, o którym sam Napoleon miał rzec z uznaniem, iż jest to człowiek „z tego drzewa, z którego robią marszałków”. Mikołaj Dunin Rajewski, herbu Łabędź, miał w żyłach krew polską po przodkach, ale już od dwóch wieków prawie ród jego stał się rosyjskim. Około lat 20 — tych dom generałostwa Rajewskich słynął w Kijowszczyźnie jako jeden z najmiłszych i najbardziej kulturalnych. Nie różnił się on wiele trybem życia „świetno gościnnego” od sąsiednich domów polskich, z którymi łączyły go nawet węzły powinowactwa jak np. z Branickimi w Białej Cerkwi.

Tu i tam panował jeszcze wszechwładnie język francuski, ale już budziły się romantyczne tęsknoty, działał czar przyrody ukraińskiej, smętna nuta ludowa. Między Rosjanami i Polakami nie było jeszcze takiej przepaści, jaką wykopał r. 1831.

Młody marszałek guberni kijowskiej hr. Gustaw Olizar czuł się w Bołtyszkach u Rajewskich, jak w domu.

Przyjaźnił się ze starym generałem, wykształconym, lekko liberalizującym, co mu potrosze niełaskę reakcyjnych żywiołów u góry sprowadzało, lubił młodych Rajewskich świetnych oficerów, znajomych Byrona a przyjaciół Puszkina, ale najbardziej go chwyciła za serce najmłodsza

córka domu, Marja, którą przezwa Marylą, „swoją smętną postawą kopciuszka”. Gdy z niepokaźnego podlotka wyrosła śliczna panna o „dużych, zasępionych, a pełnych ognia oczach”, o „giętkiej, powiewnej i nadzwyczaj szczupłej kibici”, która stała się „przedmiotem powszechnego uwielbienia i ozdobą zgromadzeń i balów przez swój rozum ukształcony i piękny śpiewu talent”, zarówno jak oryginalną, choć nie klasyczną urodę, — Gustaw Olizar, potrosze poeta, bajronista, rozwiedziony niedawno z Francuską, zakochał się w swej wyidealizowanej Maryli tak ogniste, jak jego prototyp z *Dziadów*. I jak hrabia z Pana Tadeusza, lubiąc drapować się w byroniczną pozę, zapytywał serca swego, jak rozwiązać „uczucie zawilość” i czy wolno mu połączyć się z córką obcego, a nawet wrogiego narodu? Z uroczystością nie pozabawioną lekkiego komizmu zapytywał o radę i o „dyspensę” prosił wszystkie powagi patriotyczne od ks. Czartoryskiego do Niemcewicza. Dyspensę otrzymał, ale wnet dostał od kosza, osłodzonego najprzyjaźniejszymi wyrazami, od ojca panny, który widział w różnicy wyznania i narodowości „une barriere insurmontable”. „Beatrice nic pono o tem wszystkim nie wiedziała” mówią świadkowie postronni, ale młody Puszkina, zażyły gość Bołtyszek, również namiętnie a cicho zakochany w Marji, zapisał z radością złośliwą, że „nasza dziewczyna odrzuciła miłość wroga swego narodu”). A biedny Olizar ludził się, że ma „w pierwszym wieszcu rosyjskim duszę współczującą”. Zato doczekał się pociechy nie byle jakiej. Mickiewicz w Sonetach Krymskich, poświęcił ustęp zaczynający się od słów:

*) Ks. Sergiusz Wołkoński mówi tak o swej babce w pięknych wspomnieniach „O Dekabrystach” drukowanych w „Russkoj Mysli” r. 1922, opisywanych na podstawie

zabytków rodzinnego archiwum dziś prawie zniszczonego przez bolszewików.

**) Gabrio Casati: „Lesventure di mia sorella”.

*) Puszkina. niedokończony wiersz. Do Grafa O. w pismach pośmiertnych.

„podobnie w twoim sercu o poeto młody...” — nieszczęsnemu Gustawowi, który na wzór kochanka z Dziadów „przeszyty jak grotem, odmową” pokutował w pustelni — prawdziwej pustelni, jaką założył sobie na Krymie i nazwał: *Kardjatrikon* t. zn. lekarstwo serca.

I Olizar i Puszkina wyznają kiedyś, oglądając się w przeszłość: „cokolwiek szlachetnego, lepszego, wyższego w duszy się jego wyrobiło winieniem to miłości, którą mnie natchnęła Marja z Rajewskich, księżna Wołkońska” (Olizar) — „jedyne skarby mój i świętynia, jedyna miłość duszy mej!” (Puszkina).

Poza frazeologią romantyczną, poza aureolą jaką otoczyło młodą kobietę jej późniejsze bohaterskie życie, przebiega w tych wspomnieniach urok, jaki bezsprzecznie roztaczać musiała ukraińska dziewczeczka a który zachowała nam w całej pełni poezja Puszkina.

(c. d. n.)

K. Bielańska.

Ś W I E T O K I L I Ń S K I E G O

(30 LAT TEMU)

Hasło — ogłoszenie w Kurjerze Warszawskim o nabożeństwie za ś. p. Jadwigę... nazwiska nie pamiętam — w kościele św. Jana o g. 10 rano.

Błyskawicą obiegło to całą Warszawę. Pantoflowa poczta czasu niewoli działała nierównie sprawniej, aniżeli wszystkie poczty razem wzięte. W ciągu pół doby wiadano już, że w katedrze dn. 17 IV 1894 r. mają zebrać się ci, co chcą uczcić pamięć Kilińskiego. Manifestacja — jedna z tych, które co kilka lat, kosztem setek ofiar wstrząsały Polską, aby nie dać jej zasnąć w marazmie niewoli, — polegała na wysłuchaniu nabożeństwa i udaniu się na Szeroki Dunaj, dla złożenia pokłonu przed domem Kilińskiego. Nic więcej. Spokojny powrót do domów z imieniem bohatera na ustach.

W oznaczonej godzinie katedra wypełniła się tłumem po brzegi. Przeważnie młodzież — studenci, panienki, garstka starszych.

Dzień był prześliczny. Słońce śmiało się radośnie. Na ulicach wrzało życie, jak nie w mieście niewoli, gdzie każdy odruch żądz wyzwoleń grozi nieprzewidzianą kaźnią.

Ksiądz odprawiał nabożeństwo żałobne. Jakaś starsza pani tuż koło mnie, drżąc całą, powtarzała bez końca: „Przeczuwam coś złego... to nie ujdzie bezkarnie...” Ale po ostatniej Ewangeli, gdy tłum ruszył, wyszła wraz z nim na Szeroki Dunaj.

Jedna z pozapartyjnych zupełnych literatek w towarzystwie znanego krytyka — dziś prawicowego senatora — znalazła się przypadkiem w pierwszym szeregu, a że miała nad sobą czerwoną parasolkę, gruchnęło po mieście, że pochód prowadzili socjaliści z pepeesowskim sztandarem.

Kto, wychodząc z katedry, zauważył kordony policji z dwóch stron Podwału, obok dawnego cyrkułu, dziś zamienionego na gmach Muzeum Narodowego, ten mógł umknąć małemi uliczkami, lub skryć się w sklepie najbliższym.

W ręce moskiewskich siepaczy wpadło 300 z górą osób — kobiet i mężczyzn, wrzuconych na podwórze cyrkułu. Między niemi znalazła się i pisała słowa niniejsze. Gdy weszłam, pchnięta przez jakiegoś czarnowłosego, szalejącego ze wściekłości draba policyjnego, duży, zdrzewiony dzieciniec usłany był, jak śniegiem, dro-

bniutkami papierkami. Kto miał przy sobie jakiś świstek podejrzan, darł go na strzępy, nie wiedząc, co będzie?...

Po godzinie telefonicznych narad i porozumień odprowadzono nas partjami pod eskortą policjantów i szpicli do ratusza. Tam, w imieniu pana oberpolicmajstra, oznajmiono przestępcom, iż tym razem nie będą pociągnięci do odpowiedzialności i mogą wrócić do domów swoich pod warunkiem, iż zechcą zachować się spokojnie i nie wychodzić na ulicę do wieczora.

Po tak uspokajającym przemówieniu znowu pod konwojem odesłano „buntowuszczyków” do miejsc ich zamieszkania.

W 12 godzin po szumnym akcie przebaczenia naturalnie rozpoczęły się aresztowania — nocą, jak zawsze. Dwóch policjantów i szpicel w mieszkaniu, dwóch na dole w sieni, dwóch przed bramą, przyczem — kobiety, czy mężczyźni musieli wstawać z łóżek i ubierać się w obecności draba z obnażonym pałaszem. W tem samem towarzystwie jazda dorożką w ciemną noc na miejsce przeznaczenia — kobiety do dawnego więzienia dla złodziejek, morderczyń i ulicznic przy ul. Złotej (dziś szpital), mężczyzn — na Pawiak.

Ponieważ zabrakło policji, aresztowania nie mogły odbyć się w ciągu jednej nocy. Należałam do drugiej partii.

Wrzucona o bardzo jeszcze wczesnym świcie do dużej brudnej sali, gdzie na tapczanach spoczywało już 17 kilińszczynek, dostrzegłam w szarym zmroku coś, jakby białe korony nad głowami podsądnych. Co?... Czyżby cud kwiatów cierniowych?... Nie, to były papilotki, na które jakoś znalazł się papier.

Dano do posługi „politycznym” zwykłe aresztantki: jakąś recydywistkę złodziejkę, bardzo zręczną, bardzo wygadana, która zapewniała, że „swoim” nic nie ruszy, jakąś młodzieńską dzieciobójczynię, o słodkim, a przebolesnym wyrazie twarzy, jakąś damę szlachetnego rodu, z bandy fałszerzy pieniędzy, wielce dystygnowaną i zapewnijającą o swej niewinności, jakąś paserkę, dumną, że w przebraniu męskim długi czas zwodziła policję.

Jedna z tych późniejszych przyjaciółek naszych wręczyła mi rano kartkę od siostry mojej, aresztowanej dnia poprzedniego. Znalazłyśmy się w gronie rodziny i dobrych znajomych. Była owa pani, która trzęsła się ze strachu w kościele, było parę starszych nauczycielek, była nasza uczona, pani dr. Daszyńska-Golińska, z Schoppenhauerem w kieszeni i płaszczem długich włosów na ramionach, była dzisiejsza pani ministrowa Kiedroniowa, zapalona wówczas lewicowa działaczka. Była jakaś młoda kobieta z dzieckiem przy piersi, które dzień i noc krzyczało w niebogłosy.

Śledztwo prowadził jeden z najsurowszych żandarmów — nazwiska nie pamiętam. Zwyczajem moskiewskim wygrażał pięścią, walił w stół, groził deportacją całej rodzinie, o ile badana nie wyzna, kto stał na czele manifestacji, jakie miały być dalsze jej przejawy, kto podał ogłoszenie o nabożeństwie żałobnym, skąd się wzięło nazwisko owej Jadwigi X?... O drugiej, trzeciej w nocy ściągano z tapczanów podsądne, a najostrzej wygrażano tym, które zostawiły w domu mężów i małe dzieci.

Mimo tych bolszewickich metod i mimo trzymania cały dzień o głodzie przed śledztwem, odpowiedzi brzmiały jednakowo:

— Byłam na Podwalu po buciki. Do kościoła wstąpiłam przypadkiem...

Bo tak umówiono się w cyrkule. (Studenci mieli kupować buty). Inaczej — pod grozą infamji — nie wolno było zeznawać. I to doprowadzało do wściekłości żandarmów.

Do Petersburga szły doniesienia: stłumiono bunt, który miał na celu wysadzenie w powietrze wszystkich komisariatów i cytadeli. Miasto podzielone na okręgi. Zawczasu ukrecono łeb hydrze powstania. Aresztowani odmawiają zeznań.

A w więzieniu tymczasem otożrobiono pewne ulgi, pozwalano np. na własną pościel i przynoszenie obiadów, to odbierano je, w miarę, który z pomiędzy dwóch nieprzejednanych antagonistów był górą: gubernator Andrejew, pies wściekły, pod którego władzą były wszystkie więzienia, czy generał żandarmerji, Brok, pies w rękawiczkach, który był panem więźniów przez czas śledztwa. Brok pozwalał na udogodnienia i z całą kur-

tuazją przeproszał panie „polityczne“, że nie mógł im służyć X-ym pawilonem, ale, niestety przepełnione cele nie pozwalały na to. Andrejew zabraniał obiadów i pościeli, ale razu pewnego zabawił się też w Wersal. Było to w czasie którejś z jego wizyt, gdy jedna z podsądnych zaraportowała mu, że plugawie robactwo żyć nie daje więźniom, wezwał wówczas dozorcę i rzucił rozkaz:

— Ubrać' wsio! Żeby do jutra nie było ani jednego karalucha i prusaka!...

* * *

Naturalnym wynikiem poronionego śledztwa (w carskiej Rosji) była deportacja. Ale jak podzielić na kategorie, skoro żadnej nici nie dało się uchwycić?...

Wiek — okoliczność najbardziej obciążająca. Starszych na trzy lata wygnania do najdalszych miast Syberji, młodszych — na dwa do środkowej Rosji, najmłodszych — na rok do miejscowości kresowych.

Gdy jedna starsza kobieta, nauczycielka, prosiła o zamianę Wołogdy na Kursk, lub Orzeł, ze względu na komunikację kolejową, — pan i władca wyroków, jakiś „tajny so-wietnik“ — wzrok surowy, pierś pełna orderów — mruknął przez zęby:

— A pocóż zesłańcom komunikacja?...

Robiono jednak pewne ulgi ze względu na drobne dzieci, które zabierały z sobą matki lub wobec udowodnionej choroby.

Rozsypało się wzdłuż i wszczes cesarstwa około 200 skazańców.

Do jednego z miast środkowej Rosji przyjechała cała rodzina: dwie siostry — jedna z nich z małemi dziećmi — i młoda kuzynka. Przyjął je urąganiem i górą najwyższych trudnień policmajster miejscowy — polak — renegat, syn wygnańca z 1863 r., wymyślał niemożliwe obostrzenia przy wynajmowaniu mieszkania administratora domu, b. powstaniec styczniowy, z obawy, aby zesłanki nie naraziły go wobec władz częstem obcowaniem. Zbliżył się natomiast też b. powstaniec, rejent sparaliżowany, ożeniony z zakutą moskiewką — dzieci prawosławne. Paraliż — jakby na urągawisko — odjął mu mowę polską. Z trudem przypominał sobie pojedyncze wyrazy, a polskie wygnanki rozbudziły w nim tęsknotę do rodzimego języka i jakiś żal, może skrucę... Przychodził, utykając na jedną nogę, patrzył boleśnie, silił się na słowo polskie i wychodził zgnębiony do swojej „iśtinno-ruskiej“ rodziny.

Domowy lekarz dziecienny, syn towarzyszyka, o znanym polskim nazwisku, nie rozumiał ani jednego słowa polskiego. Przyjeżdżali natomiast z sąsiednich miast Polacy, urodzeni w Rosji, którzy chcieli zobaczyć na własne oczy Warszawianki i usłyszeć prawdziwą polską mowę, bo ich język

był okaleczony, jak splątane struny starego klawikordu.

Miejscowy żywioł rosyjski zachowywał się obojętnie. Jednak gdy wypadło zasięgnąć porady lekarza-specjalisty, jedyne go na całe miasto i gdy chora wygnanka udała się do niego, wyrzucił ją za drzwi, klnąc głośno, że nie tu miejsce dla buntownic, wrogów cesarstwa rosyjskiego.

— — — — —
Święto Kilińskiego w 1894 r. zburzyło kilka ognisk rodzinnych, zrujnowało t. zw. „karjerę“ pewnych grup młodzieży, zwłaszcza studentów, którzy bądź opóźnili naukę, bądź nie mogli wrócić do niej już nigdy. Święto 17. IV. 30 lat temu, jak wszystkie manifestacje czasu niewoli, pociągnęło za sobą liczne ofiary, ale wstrząsnęło Polską, przypomniało jej nazwisko bohatera.

Na manifestację rzucano anatemy. Jedna z głośniejszych, żyjących do dnia dzisiejszego powieściopisarek, uważała, że należy sieć do krwi, zwłaszcza kobiety, biorące w niej udział. Ona sama... nie zadrżałaby jej ręką... Bo po co mącić spokój w kraju?.. Po co burzyć to, co już zdobyte?..

I to nie był głos odosobniony.

A jednak — w umysł dziecka, któremu Iłowajskij mówił o Kilińskim, jak o zbrodniarzu, padło to nazwisko jakimś nowym tryumfującym dźwiękiem. Nauczyciel — Polak, zapytany, szeptem powiedział, kim był ten szewc, co bronił Warszawy. Dzieci powtarzały starszym...

Dziś dopiero, gdy mamy wolną Polskę, możemy zrozumieć, że żadna ofiara, połączona z manifestacją narodową, nie poszła na marne, bo tylko tą drogą można było rozdzierać mroki niewoli, rzucić w powietrze salwę wielkich czynów dziejowych.

* * *

Dn. 17 kwietnia r. b. jako w 30 letnią rocznicę „Święta Kilińskiego“ odbył się obchód pamiątkowy. Kilińszczycy zebrali się w gmachu T-wa Dobroczynności. Po przywitaniach i przemówieniach nastąpił pochód do Domu Kilińskiego i zwiedzenie Muzeum Narodowego (dawnego cyrku), w którym nastąpiły aresztowania. Komitet obchodu stanowili pp. Zdzisław Dębicki, Stanisław Kijewski i Władysław Kijewski.

al.

PIĘKNA KSIĄŻKA

Nie rozpaczajmy, że twórczość współczesna przygasa — że nastąpiło wyczerpanie talentów, a młodzi z trudem i poomacku sił swych próbują przetrwać tę chorobę jak tyle innych, a tymczasem zdrowy instykt społeczny skierował naszych wydawców na właściwą drogę samoobrony, przeciw głodowi duchowemu inteligencji.

Wciąż się ukazują w nowych szatach — stare książki, wygrzebane z kurzu zapomnienia, ongiś wszystkim znane, utwory nieprzemijającej wartości, jak każde dzieło talentu i myśli ludzkiej.

I czasem się zdarza — iż bierzemy taki utwór do ręki, z pewną nieufnością, a po kilku już chwilach doznajemy olśnienia!

Ile ciekawych, a zapomnianych myśli, ile zagadnień dzisiaj nurtujących, a dawniej obojętnych! Żadne walory artystyczne, żadne drogi i zażyłości umysłu autora nie ujdą naszej bacznej dojrzałej uwadze,

Skala naszych pojęć i zainteresowań rozszerzyła się z wiekiem, poczucie artystyczne pogłębiło i wysubtelniło, a wnikając w treść utworu wszystkimi władzami umysłu i duszy, przeżywamy piękne godziny czystej rozkoszy. Książka nie przestała być ludziom pokarmem koniecznym, a zdobyta z trudem i wybrana z namysłem, staje się o wiele ważniejszym zdarzeniem życia, niż to było dawniej. Czyż dużo tracimy na tem, że nie pochłaniamy tuzinami przeciętnych nowości?

Oto leży przedemną książka — jak sądzę grubo warstwą zapomnienia pokryta, której zawdzięczam takie piękne godziny. Jest to 2 tomy dzieła Kaczkowskiego p. t. „Kobieta w Polsce“, wydane w 1892 r. (30 lat po napisaniu) przez P. Chmielowskiego, który w pełnej uznania przedmowie tak się wyraził: „Jest to jedyna do dziś dnia praca, obejmująca całość historycznego rozwoju losów kobiety naszej, pisana pięknie i wymownie“.

Od czasu jej wydania upłynęło jeszcze lat 30 i te same słowa można w całości powtórzyć. W czym się zawiera tajemnica wdzięku tej książki, co sprawia, że się ją z takim zainteresowaniem czyta? Czy wyjątkowy temat, czy talent historyczny? Czy tu przeważa malarz, poeta, czy człowiek o wielkiem sercu i intuicji?

Długo nie mogłam sobie tego wytłumaczyć, aż zrozumiałam, że ten brak odpowiedzi był odpowiedzią właśnie. Autor posiadał tajemnicę harmonji.

Żadna z cech wymienionych nie przeważa, nie przytłumia innych, wszystkie, uzupełniając się wzajemnie, dostrajają do jednego tonu uczuciowego, którym jest — umiłowanie prze-



szłości. Nigdy jego fantazja dopełniająca nie ponosi poza granicę logiki i wiedzy historycznej. Na głęboko zbadanem i przemyślanem tle dziejowym na którym tak ubogo zaznacza się życie i charakter kobiet w polskiej historii — wysuwać zaczyna tkaninę o wzorach misternych, najprzód w barwach przyćmionych, niewyraźnych, ale jak gobeliny pięknych prymitywnością i wdziękiem subletnym; później stopniowo, opierając się na pewniejszych źródłach, coraz wyraźniejsze nadaje kontury typom kobiecym. Stopniowo nabierają one życia, wyrazu. I zanim je ubierze w strój epoki opisywany z zamiłowaniem estety, nie zapomni dać im krwi i ciała, a przede wszystkim — duszy.

Jeżeli Kaczkowski, jako człowiek umiarkowanych przekonań, nie wyprzedzał o wiele idei współczesnych i w kwestii podnoszącej się właśnie emancypacji kobiet, negatywne zajmował stanowisko — to tembardziej trzeba polubić jego dar odczuwania i rozumienia elementów psychiki kobiecej, dar rzadki, aż po nasze czasy. Można by do niego zastosować jego własne słowa, tyjące się historii. „Wszystko co żywe i martwe tajemniczemi węzły w jedną całość złączone, przesuwają się nieskończonym korowodem przed nami i nas zabiera ze sobą“. Idziemy, bo nas pociąga z jednej strony barwność życia, bogactwo i artyzm języka, z drugiej otwiera się głębia przeżyć duchowych kobiet, ich istotnego znaczenia w dziejach kultury, ich wiecznie tej samej tragedji poświęceń i niedoli: „Milczeć i cierpieć — od czasów najdawniejszych — aż do dzisiejszych, los najwykleszy kobiety“.

Z zadziwiającą intuicją znajduje punkt wyjścia najzupełniej trafny w swych poglądach — i ten mu się staje linią przewodnią w całej pracy, nie pozwalając się rozpraszać i gubić w przeróżnych cechach charakteru kobiety. Tym elementem podstawowym jest uczuciowość i wyobraźnia. One też są kluczem, którym umie otworzyć wiele tajemnic życia. Np. pochodzenie mitów słowiańskich, baśni i wierzeń wyjaśnia w ten sposób: „Mężczyzna nowoczesny, zatrudniony wojną, lub łowami, jedzący smoczemi usty, pijący gardłem bezdennem i śpiący potem, jak głaz — tym światem duchowym pewnie się nie zajmował, jego myśl była ciężka, nieobrotna, realna... Tymczasem kobieta, znużona ciężką dnia pracą, uciekała w świat wyobraźni, który był dla niej bez granic i w którym mogła bujać dowolnie. Wartka jej wyobraźnia przy ognisku w świetlicy unosiła się lotem ptaka w błękity, tworzyła dziwa niepojęte dla innych. Z łada okrucia, podania, albo pieśni gęslarskiej wyrabiała powieści tak misternie rzeźbione, jak delikatna sieć listka...“

Nieprzetrawiona bolesć, zatruta stratą wszelkiej w tem życiu nadziei,

stworzyła wieści o rajskich rozkoszach za grobem... Strach, zazdrość, tęsknoty niezrealizowane nasuwały wyobraźni świat fantastycznych postaci pełnych grozy i piękna... Z tego też względu można przyjąć za pewnik, że cała ta mitologia słowiańska, cały ten świat nowoczesny, nadziemski, taki uroczy i piękny, tylko w swych głównych zarysach został stworzony przez narodowych gęslarzy, a zresztą wyrobiła go i przystroiła wyobraźnia kobiety. Jest to zresztą wypadek najwykleszy, bo przecie wszystko, co wzniosłe i piękne, jest dziełem wieszczów i kobiet“.

Ten mały wyjątek może dać pewne pojęcie o stylu i sposobie pisania Kaczkowskiego. Opierając się na tradycjach ludowych, znajduje rozwiązanie wielu zjawisk społecznych. Tradycja jest mu słońcem, którego promienie dochodzą w najciemniejsze zakątki historii i może chwilami zbyt wzrok oślepiają, ale wzamian żaden fragment piękna nie uchodzi jego uwadze.

„Duch dawnych wieków, duch narodowy, używa pisanej historii tylko za skrzynię, w której składa swe szaty; ale sam swoim głosem odzywa się tylko w pieśniach wielkich poetów, a żyje tylko w żywej tradycji“.

Pomimo, że pewne poglądy w obec nowych materiałów historycznych, mogą być przestarzałe, książka posiada tak dużą wartość i tyle uroku, że nowe jej wydanie, stałoby się czynem kulturalnym, dodatkiem i pożądanym zjawiskiem.

M. Iwaszkiewiczowa

Na polach pracy i twórczości

U PRACOWNIC IGŁY.

„Polski związek zawodowy pracownic igły“ istniał jeszcze, jako organizacja konspiracyjna, stanowiąca wówczas część „Narodowego Związku Robotniczego“.

Gdy po rewolucji 1905 r. pozwolono na organizowanie związków zawodowych, pośród innych i „Polskie związki zawodowe“ ujawniły istnienie swoje i działalność — z nimi razem i „Związek pracownic igły“.

Mimo szykan władzy rosyjskiej, mimo nieustannie wiszącej groźby rozwiązania organizacji, rozwijała się ona bardzo pomyślnie. W okresie największego rozwoju „Związek pracownic igły“ liczył przeszło 400 członków. Prócz pośrednictwa pracy i innych fachowych spraw, podejmował on poważną działalność kulturalno-oświatową, urządzał dla członków swoich odczyty, koncerty, zebrania towarzyskie, chóry, kółko dramatyczne, wypożyczalnię książek i t. p.

Nie poderwał jego bytu rozłam, w r. 1918, dokonany na gruncie ideowym, gdy część członków porzuciła

organizację, przechodząc do t. zw. „Związków zawodowych klasowych“, gdzie wraz z mężczyznami, zajętymi w branży krawieckiej wytworzyła „Związek pracowników igły“. Po rozłamie tym, aż do ostatnich czasów „Polski Związek Zawodowy pracowników igły“ skupiał znaczną ilość członków, stanowiąc dla nich ostoję, opiekę i szkołę pracy zbiorowej. W ostatnich czasach jednak zaczął ujawniać się zastój i upadek organizacji.

Brak jednostek, mogących poświęcić znaczną ilość czasu pracy społecznej, i mających jasną myśl przewodnią, odbił się bardzo ujemnie na bycie organizacji. Zaniechano pracy kulturalno-oświatowej, nie urządzano nawet kwartalnych zebrań ogólnych; dyżury w lokalu związkowym odznaczają się niepunktualnością i t. d. Nie dziw, że ilość członków maleje i spadła już pono poniżej 250. Jest nadzieja, że na bliskim już rocznym zebraniu, dotychczasowy nieudolny Zarząd ustąpi miejsca nowym, sprawniejszym siłom.

Byłoby pożądanym, aby do Zarządu weszły osoby z inteligencji, na co pozwala ustawa, przewidując kooptację przez Zarząd osób z poza Związku. Każdy, komu nie obce są stosunki, panujące w licznym świecie pracownic igły, rozumie, jak ważnym czynnikiem społecznego i państwowego znaczenia byłoby kulturalne i społeczne podniesienie tej warstwy; jak wiele pracy włożyłoby należało w organizację i porządne funkcjonowanie zawodowego związku pracownic igły.

O SŁUŻBĘ WOJSKOWĄ KOBIET.

Na ostatniem posiedzeniu przedświątecznem Senat przyjął poprawkę Komisji Wojskowej w sprawie służby ochotniczej kobiet w armii polskiej. Poprawka ta dopuszcza kobiety do służby ochotniczej w czasie pokoju w działach pomocniczych, jak biurolistyka, służba gospodarcza, służba łączności, wywiadowcza, sanitarna i oświatowa.

Oczywiście, poprawka ta, wraz z całą ustawą o służbie wojskowej, wraca pod obrady Sejmu, który ostatecznie o losie jej zadecyduje.

Autorem poprawki był, jak się dowiadujemy, wielki zwolennik służby wojskowej kobiet, świadek bohater-skich wysiłków Legji lwowskiej, Senator Bolesław Wysłowski.

PŁACE OCHRONIAREK.

Zdając sprawę z działalności Macierzy Szkolnej Ziemi Wileńskiej, wileńskie „Słowo“ ciekawie podaje szczegóły, co do norm wynagrodzenia, jakie instytucja ta przyznaje swoim pracownikom. Macierz Szkolna organizowała w roku ubiegłym ochronki letnie po wioskach Wileńszczyzny. Ochronkom płacono po 500 tysięcy marek miesięcznie. „Wobec śmiesznych tych płac — pisze „Słowo“, uz-

nać trzeba, że ochroniarki pracowały ideowo“.

Bardzo to pięknie z ich strony! Ale ciekawa rzecz, czy jakakolwiek instytucja zaproponowałaby takie wynagrodzenie za pracę jakimkolwiek mężczyźnie?!...

Kobiety pozwalają się wyzyskiwać!

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PROJEKT REFORMY PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO W FINLANDJI

„Stowarzyszenie kobiet Szwecji i Finlandji“ złożyło do parlamentu projekt reformy prawa małżeńskiego w Finlandji. Celem zdobycia poparcia społeczeństwa fińskiego, zorganizowano jednocześnie wielki wiec publiczny, na którym przemawiali najwybitniejsi mówcy. Uchwalono jednogłośnie rezolucję popierania projektowanej reformy.

Projekt Stowarzyszenia obejmuje:

1) zniesienie zależności prawnej żony od męża; 2) ustalenie jednakowych praw do opieki nad dziećmi i wychowania ich, dla obojga rodziców; 3) prawne uznanie zajęć gospodarczych i wychowawczych kobiety w domu, jako pracy, przyczyniającej się do utrzymania rodziny i będącej ekwiwalentem pracy zarobkowej męża; 4) ustalenie prawa żony do otrzymywania określonej sumy na wydatki domowe i osobiste. O ile mąż odmawia żonie dawania pieniędzy jej osobiste potrzeby, powinna mieć prawo załatwiania swych sprawunków na kredyt i mąż obowiązany jest opłacać jej rachunki. W razie jeśliżby żona nadużywała tego prawa, sąd powinien rozpatrywać tę sprawę i orzec, czy żona przekroczyła normy wydatków, zgodnych z dochodami jej męża i z wymaganiami klasy towarzyskiej, do której należy.

WYŻSZA SZKOŁA KOBIECA W KONSTANTYNOPOLU.

„Doroczne sprawozdanie „Wyższej Szkoły Kobiecej“ (rodzaj uniwersytetu dla kobiet) w Konstantynopolu podaje następujące ciekawe szczegóły rozwoju i działalności, blisko pięćdziesięcioletniej, tej instytucji:

Zakład powstał w r. 1871, założony przez Amerykański Wydział Misyjny i nosił z początku nazwę: „Szkoła amerykańska dla dziewcząt“. Stopniowo, w miarę przybywania większej ilości uczennic, poziom szkoły stawał się coraz wyższy. Przez cały przeciąg wojny zakład rozwijał się najzupełniej pomyślnie; studentki najrozmaitszej narodowości i wyznań współ-

żyły ze sobą w całkowitej zgodzie i harmoniji.

Na zakończenie zeszłego roku szkolnego, przełożona zakładu, p. Mary Mills Patrick, została wezwana do kalifa, który złożył jej podziękowanie za tak pożyteczną i owocną pracę nad propagowaniem idei rozumnego postępu i braterskiego zjednoczenia wszystkich ras i narodów na Bliskim Wschodzie.

W chwili obecnej zakład rozpoczyna pracę oświatową w szerszych kołach kobiecych, mianowicie nad turczynkami, należącymi do starszej generacji, do których jeszcze nie dotarły idee bardziej postępowe. Otwiera się cały szereg kursów ogólnokształcących dla kobiet, coś w rodzaju uniwersytetów ludowych. W projekcie jest także założenie kursów wakacyjnych dla nauczycielek.

Z pomiędzy wychowanek Zakładu, największy rozgłos i zaszczyt tej instytucji przyniosła Halideh Hanum, zwana powszechnie „turecką Joanną Darc“. Odegrała ona bardzo wybitną rolę w życiu politycznym Turcji.

ORYGINALNA UMOWA.

Kwestja mieszkaniowa jest aktualną, jak wiadomo, nie tylko u nas, ale i w całej Europie. We Francji np. setki rodzin znajduje się prawie bez dachu nad głową.

Na tem tle jedno z pism francuskich podaje oryginalny fakt, który miał niedawno miejsce w Bordeaux:

Pewna młoda para, chcąc się pobrać, poszukiwała przez czas dłuższy mieszkania. Wszelkie możliwe starania przez znajomych, ogłoszenia w pismach, obiecane nagrody, nic nie pomagało: mieszkanie wciąż pozostawało marzeniem nieziszczalnym. Zdawało się już, że młoda para będzie musiała zrezygnować z małżeństwa i pozostać nadal—każde u swoich rodziców. Tymczasem jednak ulitował się nad niemi los, w postaci pewnego starego, a bardzo zamożnego dziwaka.

Dowiedziawszy się przypadkiem o ich kłopotach mieszkaniowych, stary

oryginał postanowił przyjść im z pomocą. Zaproponował im mianowicie umowę następującą:

„Dostarczam Sz. Państwu potrzebną sumę (kilkadziesiąt tysięcy franków), na wybudowanie sobie własnego domku sześciopokojowego na jednym z należących do mnie placów. Suma ta stanowić będzie pożyczkę bezprocentową i bezzwrotną, zaś domek, wraz z placem, stanowić będą własność Sz. Państwa.

Wzamian za to udogodnienie, stawiam warunek, by Sz. Państwo mieli w przeciągu trzech lat po ślubie przynajmniej jedno dziecko, w przeciągu zaś sześciu lat — conajmniej dwoje dzieci.“

Pismo nie podaje, czy warunek ten został przyjęty i jakie represje spadają na młode małżeństwo w razie jego niewykonania?.

PREMIUM ZA CZYSTOŚĆ.

Magistrat miasta Brukseli ogłosił niedawno premjum za najporządniej i najczystiej utrzymane mieszkanie. Specjalna komisja obchodziła wszystkie domy w Brukseli, lustrując porządki domowe i bacznie zaglądając we wszystkie kąci i zakamarki. Nagrodę otrzymała pewna uboga gospodyni—niewidoma. Pomimo tego strasznego kalektwa potrafiła ona jednak utrzymać tak wzorową czystość i porządek w całym mieszkaniu, iż komisja, pomimo najsumienniejszego zbadania, nie znalazła nigdzie ani śladu kurzu, lub śmieci.

NAJNOWSZY SPOSÓB REKLAMY.

Jedna z większych firm jubilerskich w Ameryce wpadła na następujący pomysł dla reklamowania swych wyrobów: zaproponowała mianowicie znanej artystce kabaretów nowojorskich, pannie Alicji Delysia, aby służyła jako „żywa reklama“, występując na scenie w roli „jaśniejszego djamentu“.

Toaleta, w której występuje p. Delysia, składa się w samej rzeczy... tylko z djamentów, połączonych sznurami pereł. Wartość tych klejnotów obliczona jest na przeszło pół miliona funtów szterlingów.

Panna Dolysia wychodzi w tym kosztownym stroju na scenę, wykonuje kilka ruchów tanecznych, składa publiczności wdzięczny ukłon i znika. Przez cały czas trwania tego „występu“ wszystkie wejścia na scenę są obsadzone przez uzbrojonych policjantów, właściciel zaś firmy jubilerskiej stoi na straży za kulisami. Skoro tylko artystka opuszcza scenę, jubiler własnoręcznie zdejmuję z niej wszystkie klejnoty, zamyka je do szkatułki i, wciąż pod opieką policji, powraca do swego domu.



Z KSIĄŻEK

W służbie ideału — Zdzisław Dębicki
„Poezje” 1898-1923.

Z zatrutych studni pijemy codzień,
Każdy nam wodę mąci przechodzień—
Tylko w nas jasna tęsknota żyje
Do jasnej wody, którą duch pije.

I uciekamy, gdzie jest bezludniej—
W pustyni—skrytej szukając studni,
Bo tam, w samotnej rozmyślań chwili
Będziemy wodę przeczystą pili.

„Ucieczka”.

Cała twórczość poetycka, cały dorobek publicystyczny, dwudziestopięcioletnie trwanie na posterunku społecznym, cała, jednym słowem, dotychczasowa praca duchowa i intelektualna Zdzisława Dębickiego jest wyrazem tej jednej, wielkiej tęsknoty do czystego źródła ideału, którego żaden przechodzień nie zmąci i w którego kryształowej toni zachwycone oko poety ujrzy „niebo i gwiazdy, lśniące wysoko”...

Niebo i gwiazdy, nie zaś szarą, przyziemną, plugawą rzeczywistość. Bo, pomimo wszystko, dla nas, poetów współczesnych, twórczość jest zawsze ucieczką przed życiem. Może to być, jak w poezjach Dębickiego, ucieczka w „kraj lat dziecińczych”, pod niebo włoskie, pod krużganek starego klasztoru, bodaj w serwantkę z mahoni, skąd fantazja poety wysnuje „Bajkę Porcelanową”, albo w cień alei jesionowej, gdzie jak widmo złote jesieni sunie karoca pozłocista „króla Stasia”, — ale to jest zawsze ucieczka duszy pięknej, czystej i szlachetnej przed brzydotą, która dławii, plugawstwem, z którym się walczy, aż do ostatniego tchu, przed podłością, wobec której, aż opadają ręce.

A w tej ucieczce, która niema w sobie nic z dezenterstwa, bo jest tylko chwilą wytchnienia, rozprostowania ramion, godzinna „zmiana warty”, towarzyszy poecie wierna, doznanna przewodniczka wszystkich marzycieli, „tęsknota gościńców”.

Tęsknota białych gościńców
Woła mnie, woła, woła.
Pójdę, gdzie miasta są obce,
Pójdę, gdzie obce sioła.

I jedno z sobą zabiorę—
To jedno zabrać muszę:
Aż do ostatka samotną
I smutną moją duszę...

To poczucie wiekuistej samotności, pustki niewypełnionej, świadomość wysiłków bezpłodnych, marzeń przez życie rozwianych, skarbów roztrwonionych na próżno, melancholija siewcy, który w ziemię bezpłodną rzuca złote ziarna, pewien, że nie on chleb z nich pożywać będzie, melancholija człowieka, który zawsze hojnie szafował swemi duchowymi bogactwami, nie bacząc na wdzięczność ludzką, nie myśląc o sobie, melancholija pielgrzyma, który całe życie wędrował do słońca, a czuje, że jak Mojżeszowi nie danem mu będzie zobaczyć ziemi obiecanej, — ta melancholija, właściwa zresztą wszystkim niepoprawnym czcicielom ideału, ciąży nad poezjami Dębickiego, jak chmura.

„Nie zostawiamy nic za sobą... Żadna smuga światlista nie zaświadczy, że ta droga długa, Którąśmy przemierzali od końca do końca, Miała być drogą prostą i jasną — do słońca”

Gorzko skarży się poeta, ale czy słusznie? Zaprzeczeniem doraźnym jego tezy poetycznej są jego własne czyny twórcze, od młodzieńczego upojenia w „Świecie kwiatów” aż po męskie w ogniu walki, pod skwarnym słońcem codziennej troski, dojrzałe „Podstawy kultury narodowej” i „Narodziny ideału”.

Na tych dwu pniach, jak na trzonach dwóch kolumn doryckich, wspiera się i wykwiata

prosty wrysunku, dostojnym w kształcie, szlachetnym w polocie architekturą — konstrukcją ideologiczną Dębickiego. W tych dziełach swego żywota, jest on niemniej poeta, jak w pieśniach rymowanych w czasach liryzmu. Tylko różnica ta, że w mowie wiązanej starał się uciekać od rzeczywistości, a w swych dziełach prozą śmiało wychodził temu życiu naprzeciw, z młotem i oskardem w dłoni, aby kuć je i kształtować w imię i na modłę najszczytniejszych ideałów ludzkości i narodu.

„Kułem życie swoje w skale
Trudno i wytrwale.
Zamiast lepić z miękkiej gliny
W mijającej kształt godziny...”

To, co poeta mówi tu o swoim życiu, łącznie zastosować do życia narodu. Zaiste, nie jest on z rodu tych, którzy idą po linii najmniejszego oporu, schlebując podmuchom chwili „Dumnego jestem karku, twardej, jestem szyi, nie ugnę się przemoccy, i woli niczyjej, sam sobie jestem panem — szlachcic na zagrodzie swej duszy, dzisiaj tylko — równym wojewodzie”.

Dębicki należy do tej generacji i do tej rasy, która nie opuszcza sztabu i daje się prawie przy nim zakłuć, ale go nie odda, choćby ten sztab był zatknięty na „okopach św. Trójcy”, przez Pankracego dawno skazanych na zagładę...

I tu może tkwi jeszcze jedno źródło smutku, więcej z poezji Dębickiego. Są rzeczy, które muszą skończyć w rzeczywistości, aby móc ożyć w pieśni, to prawda, ale tem niemniej płacze się nad ich przedwczesnym odejściem.

Poezja dworu polskiego coraz bardziej zachodzi w cień, zanim stanie się widmem; poeta uchwycił jego rąbek i wysnuł z niego przedzę „Kraju lat dziecińczych”, który jest jakby historycznym uzupełnieniem i rozwinięciem „Pieśni o domu naszym” Pola.

Tylko, ta nowoczesna dusza omotała te wszystkie stare kantorki, portrety, szafy, podwórza, psy, konie, poranki, wieczory, krajobrazy, — błękitnym welonem smętku.

Bo przecież „kraj lat dziecińczych” żyje raz tylko dla każdego człowieka i bezpowrotnie umiera.

Cóż pozostaje? Wiecznie żywi terkoczący, niemiłosierny „Młyn” rzeczywistości. „Na pył, na proch, niewidzialnie, skrycie — miele duszę w żarnach swoich życie. Myśl ucieka od straszego młyna, ale męki jej nie zapomina”

Nie ma zapomnienia w państwie Ducha. Może być tylko przebaczenie.
„Miłość mnie moja zdradziła trzykroć,
Prawda mnie moja zdradziła trzykroć,
Wiara mnie moja zawiodła święta,
Niech Bóg przebaczy i nie pamięta!”

St. Podborska — Okołów.

Z TEATRÓW

TEATR ROZMAITOŚCI

„Żywy Buddha” — dramat w 3 aktach A. F. Ossendowskiego. Reżyserował Ludwik Solski,

Mniej więcej trzy lata temu przyjechał do Warszawy człowiek, którego nazwisko zyskało wkrótce ogromną popularność. Profesor Antoni Ferdynand Ossendowski. Przygody, których doznał w swej niezwykłej podróży przez Syberję, Chiny, Mongolję, wkraczając niemal w dziedzinę nieprawdopodobieństwa, chociaż... czemuż jest w gruncie rzeczy ubóstwo ludzkiej fantazji wobec faktów, z którymi nas co chwila stawia oko w oko nieprzejrzane, tajemnicze, pełne dziwów i niespodzianek — życie?

Profesor Ossendowski rozpoczął swą działalność literacką w Polsce szeregiem odczytów. Opowiadając barwnie i zajmująco swe własne przygody, starał się jednocześnie dać obraz dzisiejszej Azji i uprzytomnić nam rolę bolszewizmu na dalekim, „ponurym Wschodzie”. „Bolszewizm... grozi „obudzoną Azją”,

w której wzniesił już pożar, a płomień ten będzie miał obfitą strawę: 800 milionów ludzi... Dalejże przeciw białej rasie! Precz z cywilizacją chrześcijańską! — oto hasło, które nie milknie od wieków w Indjach, Tybecie, Mongolji i Chinach.

„Żywy Buddha” jest właściwie żywym obrazem, ilustracją do książki Ossendowskiego p. t. „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”. Akcja sztuki, rozłożona na role aktorskie opowieść o krwawym baronie Ungern von Sternbergu, zaciętym wrogu bolszewizmu i apostołe mądrej nauki Buddhy. Opowieść ta, która w książce miała walory siły i prawdy, — w opracowaniu scenicznym przybladła, lub przejasniona została stanowczo niekorzystnie. Sama postać barona Ungerna, tak ciekawa w opisie, nie występuje tutaj plastycznie, a czynny jego w niczym nie odpowiadają charakterystyce, wkładanej raz po raz w usta osób trzecich, które o „szalonym”, „krwawym”, „nieszczęśliwym” generale wiele bardzo mówią z trwogą, uwielbieniem, czy nienawiścią, ale go nam nie ukazują ani w jego zwycięstwach, ani w jego klęskach.

Trudna to zaiste rzecz, pisać dla sceny, gdzie każde słowo winno mieć wagę uczynku, gdzie nic nie może być „opowiedziane”, a wszystko „pokazane” widzowi przy pomocy akcesoriów takich, jak szminka i gest aktora.

W tej dziedzinie Solski niewiele ma równych sobie. Jego „baron Ungern” wydarł się poza szablon papierowości, ale tylko w granicach, do których mogła sięgnąć władna intuicja znakomitego artysty.

Poza niesamowitym von Sternbergiem, niemcem i całą kolekcją typowych oficerów rosyjskich, w dramacie występuje szereg postaci egzotycznych: lamowie, chanowie mongolscy, wróżki — tancerki, a przedewszystkiem sam Bogdo-chan, 31-szy „Żywy Buddha”. Barwne to, dzikie, zupełnie nowe dla nas. Interesuje, jak idealnie kolorowany film, zdjęty „z natury”.

Niezapomnianą maskę Dzauchanca-Lamy dał p. Staszkowski, wybormin Turdry-Lama, — truciicielem był p. Ryszkowski; wróżka — Hryniewiczówna tańczyła z wdziękiem, Chmieliński, jako siepacz — Sipajłow stworzył wielką kreację z niewielkiej roli; ślicznie wyglądała p. Milla Kamińska w swym barwnym i niezbyt obfitym stroju. Szkoda, że głos tej uroczej artystki nie posiada dość siły w dramatycznych akcentach. Kotarbiński (Żywy Buddha) był wcieleniem powagi i dostojęstwa. Dekoracje Drabika wspaniałe. Świątynia Buddhy (w II akcie) była gorąco oklaskiwana przez publiczność. Reżyserja nie tylko staranna, lecz pomysłowa. Zresztą nazwisko Solskiego mówi tu samo za siebie. Całość widowiska mimo woli nasuwa uwagę, że syberyjski kamień dostał tym razem... szczerą łotą oprawę.

W. Mił.

KĄCIK LEKARSKI

INSTYNKT MATKI

W mieszkaniu jest dwudziestoletnia matka, zajęta ręczną robotą, w sąsiednim pokoju śpi dziecko ośmiomiesięczne, w kuchni krząta się służąca.

Ciszę przerywa płacz dziecka. Służąca biegnie do dziecka... Płacz uciuchł natychmiast. Młoda kobieta zaczęła się zastanawiać nad tem, dlaczego płacz dziecka nie ścichł, jak zwykle, stopniowo, lecz — nagle się skończył. Upływa jeszcze parę chwil. Myśl ta sama uporczywie znowu wraca... Nagle, jakiś niepokój szarpnął sercem matki... Zrywa się i biegnie... Staje nad łóżeczkiem, a tam... widzi czarno siną twarzyczkę i wyszłe z orbit oczy. Dziecko nie oddycha. Zakrzywionym haczykowato palcem lege artis (tak, jak najbardziej doświadczony lekarz by to uczynił) wydobywa uwięziony w krtani dziecka kawałek skórki od chleba, długości sześciu centymetrów. Dziecko wydaje przeciągły świst. Jest uratowane.

Zadałam tej młodzieńkiej matce kilka pytań:

— Skąd pani się domyśliła, że dziecko ma w ustach skórkę od chleba, czy zapytała pani niańkę?

— Nie... Kiedy zobaczyłam ten okropny widok zaduszonego dziecka... nie było czasu na pytania...

— Jakże się pani domyśliła, że to jest zadławienie? Musiała pani widzieć, jak służaczka mu dawała do ssania zdradliwą skórę od chleba, która zawsze może rozmięknąć w ślinie dziecka i zapchać mu krtań, lub przełyk.

— Nie... nigdy tego poprzednio nie zauważyłam.

— Czy wreszcie wiedziała pani z książki, że właśnie tak należy ratować przy zadławieniu, jak to pani uczyniła?

— Nie czytałam... nic nie wiedziałam... Kiedy się potem zastanowiłam nad tem, zrozumiałam tylko, że mój wewnętrzny niepokój powstał w chwili zaczynającego się niebezpieczeństwa... Skoczyłam do mego synka, gdy już leżał bez życia prawie i bez żadnego zastanowienia, ani wahania, jakąś nieświadomą siłą kierowana, machinalnie włożyłam palec do jego ust... a tam natrafiłam na mały sterzący z gardła kawałek twardej skórki, który udało mi się tak szczęśliwie wydobyć...

Tylko tyle...

Czy może obca kobieta zastąpić przyrodzoną opiekunkę dziecka?

Sprawczyni wypadku spokojnie oddawała się pracy, nie czując najmniejszego niepokoju.

Wykwalifikowana nurse zapewne by tego nie zrobiła, ale — czy dużo rodzin naszych może sobie pozwolić na nursy... Zresztą instynktu matki nabyć za żadną cenę za pieniądze nie można.

Dr. J. Śmiarowska.

POKÓJ DZIECIĘCY

Wiem, że minionych godzin biegu nic nie [wstrzyma]

I że w miarowym szumie zegarów odchodzi Życie — lecz, że się z mroku nowa światłość rodzi Szarą godziną, patrzę, jasnymi oczyma!

I oto szara godzina dnia dzisiejszego świetlaną mi wizję zesłała! Czas, ten nieubłagany okrutnik, wstrzymał kroki złowieszcze. Cofnął bieg swój nielitościwy i powiódł mnie w minione młodości lata! Srebrzysty śmiech wita mnie znowu na progu dziecięcej komnatki, moje dorosłe, tak zapamiętałe dziś „fokstrotujące” dzieci, znowu są malenkimi i drobne ku mnie, wyciągają rączyny. Zacierają się wszystkie błędy młodocianej mojej nieudolności i widzę je w ramach wysnionych.

Pokoik załany światłem, słońca po brzegi! Okna w obramowaniu lekkiego, białego w pręciki różyczek muślinu, takim samym obłóczkiem przystrojone skromne, koszykowe łóżeczka; w nich pościel niezbyt miękka i rozleniwiająca, ale taka, która daje należyty wypoczynek, strudzonemu całodzienną bieganiem, ciałku. Poduszczyk w śnieżnobiałej, skromnej powłoczce, lekka, wełniana, biała kołderka; [nie pikowana, lecz do prania]; podpięta prześcieradkiem o szerokim obrębie; na to rzucony puchowy becik, z blade różowej satynki, pikowany w dużą kratę, powłoczka na nim cienka, batystowa, najładniej w drobne kwiateczki. Pościel, przed zasłaniem na dzień

łóżeczek, dobrą godzinę na słońcu wywietrzona i wygrzana. Lśniącą od czystości podłogę wyscierała przed łóżeczkami jasne, codziennie doskonale trzepane, dywaniki. U wezgłowia na białą malowaną, szlakiem z barwnych wycinanek przystrojonej, ścianie — obrazek Matki Boskiej, kult której, tak pełen poezji, łatwo każde dziecinne przeniknie serduszek. Między oknami, w świetle których kwitną koronkowe pelargonie; na dużej, plecionej macie garnitur małych, koszykowych mebelków. Po środku przeciwległej ściany, niski, biały lakierowany, dość długi stół, w nim dwa zagłębienia, względnie okrągłe otwory, z wpuszczanymi białymi miednicami, po bokach duże gumowe gąbki, na odpowiednich do kolorytu pokoju tasiemczkach, zawieszono, włochate ręczniki do wycierania ciałek, mytchy co wieczór, jaknajdrobiazgowiej, drugie, mniejsze, do kilkakrotnie przez dzień wymagających wody i mydła — buziaków i rączek.

Po dwóch stronach umywalni, dyskretnie przysłoniętej parawanikiem, podciągniętym odpowiednim do całości muślinem, dwie bliźniacze szafki, o zawartości których pomówimy w następnym numerze. W jakimś wolnym kącie półeczka na zabawki i książeczki, codziennie przed spaniem przez skrzętnych właścicieli układane. Jako współobywatel, powiernik, przyjaciel, a często opiekun — obrońca, jakiś Rex, albo Ralf, który za uszy ciągnąć się pozwala, na mocnym grzbiecie słodki dżwiga ciężar, znosi niejednokrotnie męczeństwo dziecinne egoizmu, ale jest kochany serdecznie i szczerze. a we wspomnieniach jasnego dzieciństwa gra rolę, tak doniosłą i szczytną, że nieraz na całe życie wyrabia specjalny stosunek danego człowieka do zwierząt, dla których zrozumienie i dobroć jest dowodem szlachetności duszy.

Ramy, w których zamknęłam moją świetlaną marzeń wizję, są łatwe do osiągnięcia dla każdej starannej i prawdziwie kochającej matki, rozumiejącej doniosłość i wpływ otoczenia, na wrażliwą duszycką dziecięcą. Wystrzegając się bacznie wszelkiego kosztownego zbytku, gdyż przyzwyczajanie dzieci doń, jest zbrodnią, o bardzo ciężkich nieraz w przyszłości następstwach, prostymi, domowymi sposobami, stworzyć można dzieciom otoczenie śliczne, a takie, które w przyszłości, przy minimum środków materialnych, a tylko przy wrodzonej i głębokiej potrzebie estetycznego otoczenia, zawsze stworzyć sobie będą mogły. Ciałko dziecięce w bezwzględnej wzrastającej czystości i harmonijnym otoczeniu, rzadko stanie się siedzibą brudnej duszy. Zrzeknijmy się, tak nieraz zbyt szalonego salonu, na korzyść słonecznej komnatki dziecięcej, wykreślmy z repertuaru naszych toaletowych pożądań, kilka kosztownych szmatek, a uścielmy dzieciom naszym gniazdko, z którego wyfruną w świat istoty o potrzebie i zrozumieniu piękna.

W.

ZDALEKA

Paryż, Wiosna 1924.

W Paryżu wiosna się poczęła. Na niebie niebieskiem chmurki gonią się nawzajem, gałązkom drzew coś się już marzy o soczystych i lepkich zaczątkach liści, w ogrodach ziemia nie przytłuczona asfaltem ni brukiem szkuje się radośnie do nowego życia i pokrywa się nieśmiało słońcem, woniąjącą trawką.

Wszystko w tym czasie i zapachu przybiera formę Piękna i Radości.

Jakże uroczy jest ten kapeluszek słomkowy włożony na małą, ostrzyżoną główkę pięknej Paryżanki — wstążka wdzięcznie przechodzi pod brodą, ginie w kapeluszu, i ulatuje z podmuchem wiosny wijąc się w fantastycznym tańcu. Naokoło szyi okręca się lekkie futro, lis srebrzysty lub czarny, krety lub popielice. Jak wesoło miga ten kostium kraciaty — linia wysmukłej postaci prosta z tyłu i podana naprzód z powodu fałdów bocznych „en godets” żakietu o spódnicy.

Od czasu do czasu mieni się barwami bajki kolorowy batik związany na szyi, czaruje białą postać dziewczynki idącej wzdłuż świeżo zasadzonych o barwach ognia tulipanów.

Szalik kraciaty przy kapeluszu ze słomy wełnianej ubrany takąż jak szalik kraciatą wstążką, na sukniach wiele haftów w kolorach mniej barwnych, dużo czarnego z białym, — kostjomy obramowane marabutem zamiast futra, wiele kapelusików „cloche” uplecionych z wstążki przy takiejże parasolce i woreczku, — oto co się jeszcze przesuwa przed oczyma.

Słońce, które już dobrze przygrzewa zmusza do osłaniania się, — więc piękne ręce w wytwornych rękawiczkach z mankietami haftowanymi lub wyciętymi w zęby lub ozdobionymi falbaną, trzymają coś na kształt parasolek japońskich („en cas”) w kolorach żywych. I tak do tego pierwszego podmuchu wiosny wszystko się dostroiło, żeby dać wrażenie barwy, ciepła i poezji.

Nina Aleksandrowicz.



NEO-FOSFATYNA WENDY

zdobyła sobie uznanie jako najlepsza mączka odżywcza dla dzieci, starców i rekonwalescentów.

95 Skład Apteka WENDY
Krak. Przedm. 45, w Warszawie
ŻĄDĄC WSZĘDZIE

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

92 „KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

Nieostrzegalnie,
trwale usuwa siwiznę

ORIENTINE

NADAJE WŁOSOM POLYSK
i MIĘKKOŚĆ PROSTY w UŻYCIU.
BEZWARUNKOWO NIESZKODLIWY.

PARTUMERIE D'ORIENT
• VARSOVIE •

M. Bystroński

NOWY ŚWIAT
NR 20
W PODWURZU

WYKWINTNE-OBUWIE-DAMSKIE
MODELE PARYSKIE

Wskazówki praktyczne

J A J A.

Spóźniony w tym roku, z racji chłódów sezon jaj rozpocznie się dopiero po świętach Wielkiejnocy, kiedy ludzie przestaną już używać nieskończonych ilości ich na ciasta i na kraszanki. — Należy przewidywać, że jaja po świętach staną się i będą mogły w znacznej mierze zastąpić drogie i mniej na wiosnę zdrowe mięso. Przy pewnej umiejętności i pomyślności można z jaj zrobić tyle przekąsek i potraw. W francuskiej literaturze kuchennej, są całe książki potrawom z jaj poświęcone; niestety w Warszawie ich dostać nie można, będą więc mogła czerpać tylko z własnego doświadczenia, szereg przepisów użycia tego zdrowego, strawnego i względnie niedrogiego produktu. Zaczę od zwykłej jajecznicy, która przeważnie jest źle robiona; sekretem, aby była smaczna, jest smażyć ją na dużej ilości masła. Na osobę liczy się zwykle po dwa jaja, oczywiście nie mogą przewidzieć ile ich trzeba, przy wyjątkowych apetytach; znałam ludzi, którzy zjadali po 10 jaj na jedno śniadanie, a w zeszłym roku, pewien ksiądz na Litwie, zjadł podobno, będąc bardzo głodny, po summie, jajecznicę z 60 jaj, poczem jednak, następnej nocy, mimo pomocy lekarskiej, przeżył się do wieczności. Przy normalnych więc apetytach na pięć osób, ubić mocno w garnku dziesięć jaj, rozpuścić na patelni dużą łyżkę masła, wylać na nie jaja, gdy zacznie masa się poruszać, łyżką dużą mieszać do dna, uważając aby nie rozbić jajecznicę na drobne kawałki, gdy miernie gęsta, natychmiast podawać. Do takiej jajecznicę można przed usmażeniem dodać garść szczypiorku lub zielonego koperku, ćwierć funta szynki gotowanej lub surowej, pokrajanej w drobne paski, nerkę cielęcą ugotowaną, lub upieczoną, pokrajaną w plasterki, kilkanaście szyjek i łapek rakowych oczyszczonych, talerzyk deserowy szpa-

ragów ugotowanych w wodzie z solą i pokrajanych w kostkę, takż talerzyk gotowanego makaronu włoskiego, osypanego ostrym serem, kilka parówek, lub serdelków ugotowanych i pokrajanych w grubą kostkę, kawał kielbasy wędzonej, pokrajanej w cienkie plasterki, dwa twarde, dojrzałe pomidory, pokrajane w kostkę i t. p. każdy z tych dodatków oczywiście oddzielnie, w odpowiednim dlań sezonie i zawsze do surowych, rozbitych jaj. Czem obficie rozprowadzić masło do jajecznicę, tem będzie ona smaczniejsza.

Jaja w galarecie. Ugotować dziesięć jaj na twardo, nastawiając je w zimnej wodzie i gotując na wolnym ogniu, aby żółtka dobrze stwardniały, oczyścić z łupin, poprzekrawać wzdłuż na dwie połowy. Z trzech szklanek dobrego rosółu, z dziesięciu listkami żelatyny w nim rozpuszczonej, przygotować galaretę. Nalać warstwę tej galarety w sporą formę lub rondel, gdy zastygnie włożyć parę korniszonów, lub grzybków krajanych w paski, trochę marchewki gotowanej, ładnie pokrajanej, na to jaja, zalać resztą galarety, zastudzić dobrze na lodzie lub w chłodnym miejscu. Gdyby forma, lub rondel były wąskie i głębokie, należy zastudzić jaja i dodatki w dwie warstwy kolejne. Przed wydaniem obłożyć formę serwetą umaczaną we wrzółku, po chwili serwetę zdjąć, położyć na formę półmisek, przewrócić razem, galareta powinna łatwo wypaść, ubrać ją wkoło sałatką włoską z jarzyn, listkami sałaty zielonej lub zieloną rzerzuchą, — do tych jaj można podać sos tatarski, sos musztardowy, provençal lub nawet zwyczajny chrzan z octem.

Jaja z sardelami. Pięć dużych jaj ugotować na twardo, obrać z łupin przekrajać na połowę, wyjąć żółtka, utrzeć na śmietaną ćwierć funta masła, dodać przetarte przez sito żółtka, dwa sardale lub pół najlepszego pocztowego śledzia, jaknajdrobniej usiekanego, jedną słodką cebulę, utartą na tarce, ucierać

wszystko razem, aż się zrobi jednolita masa, opieprzyć nieco, nałożyć na białka w taki sposób, aby całość miała kształt całego jaja, ułożyć na salaterce, zalać provencalem lub sosem musztardowym.

Jaja nadziewane. Dziesięć jaj ugotować na twardo, przekroić ostrym nożem, wzdłuż, na połowę, wraz z łupinkami, ostrożnie wyjąć z łupin, aby ich nie uszkodzić, usiekać drobno, dodać jedno jajko surowe, parę łyżek tartej bułeczki, dużą łyżkę masła, garść szczypiorku lub koperku drobno usiekanego, soli do smaku, nieco pieprzu, wymieszać dokładnie, nadziewać napowrót skorupki, układając nadzienie nieco wyżej, w formę całego jaja, ustawić skorupki na blasze i zrumienić zlekką w piecu, — podaje się je do wkładania szcziawiu, lub szpinaku, zamiast pasztecików do zupy szczawiowej, lub wprost na przekąskę do wódki. Kto lubi, może zamiast pieczenia w piecu, przysmażyć te jaja na maśle, kładąc na patelni z roztopionym masłem, nadzieniem w dół.

Jajecznicza ze śledziem. Wyborne danie na śniadanie, lub na przekąskę do wódki. Trzeba mieć do niego ładną nelsonkę platerowaną lub inny płaski rondel, z którymby można było to danie podać do stołu. Usiekać drobno dwie cebule, zasmażyć z dużą łyżką masła, włożyć w to dwa duże dobre śledzie, obrane z ości i drobno pokrajane, gdy się zupełnie zmasują z cebulą, wlać w to dwie łyżki maki, rozbite z kwaterką śmietany, wymieszać razem gdy dobrze zawrze, odstawić od ognia, niech nieco przestygnie. Sześć jaj rozbić z sześciu łyżkami mleka, osolić, wylać na masę śledziową i wstawić w gorący piec aby się ścięły; nie mieszać wcale; warstwa śledziowa i jajeczna powinny być zupełnie oddzielne, dopiero na talerz nabiera się je razem.

Jaja po francusku. Pięć jaj ugotować na twardo, obrać z łupin, białka pokrajać w

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Niedziela 27/IV	"Twardowski" pp. "Noc Letnia" wiecz.	"Grube Ryby" pp. "Żywy Buddha" wiecz.	"Dzwonek Alarmowy" pp. "On, Ona i Mama" wiecz.	"Cyrano de Bergerac"	"Świerszcz za Kominem"	"Tajemniczy Pan"
Poniedz. 28/IV	"Halka"	"Żywy Buddha"	"On, Ona i Mama"	" "	" "	" "
Wtorek 29/IV	"Lohengrin"	"Ptak"	" " "	" "	" "	" "
Środa 30/IV	"Cyrulik Sewilski"	"Żywy Buddha"	" " "	" "	" "	" "
Czwartek 1/V	"Goplana"	" " "	" " "	" "	" "	" "
Piątek 2/V	"Violetta"	"Romantyczna Panna"	" " "	" "	" "	" "
Sobota 3/V	"Straszny Dwór" pp. "Verbum Nobile", "Wesele na Wsi" i "Szopeniada" w.	"Burmistrz Stylmondu" pp. "Sułkowski" wiecz.	"Dzwonek Alarmowy" pp. "On, Ona i Mama" wiecz.	" "	" "	" "
Niedziela 4/V	"Copelia" pp. "Pajace" i "Kleopatra" wiecz.	"Romantyczna Panna" pp. "Żywy Buddha" wiecz.	"Papa" pp. "On, Ona i Mama" wiecz.	" "	" "	" "

paski jak kluseczki krajane, — z łyżki masła łyżki maki i szklanki mleka zrobić sos, w sosie tym zagażyć białka, osolić nieco, wsypać odrobinę białego pieprzu, ułożyć na platerowanej patelni lub niegłębokiej nelsonce, żółtka przedkroć przez sito rzadkie, lub durszlak wprost na te białka, nie mieszając jednego z drugim, osolić nieco, popieprzyć i natychmiast gorące podawać.

(c, d. n.)

Pani Elżbieta.

Nadesłane do Redakcji

PORADY KOSMETYCZNE

Zrozpaczonej: Możliwe, że skutkiem stosowania ostrych środków, nastąpił zanik cebulek włosowych. Niech Sz. Pani zastosuje elektryzację parokrotną, jeżeliby nie odniosła Pani skutku, to proszę przysłać włosy do analizy i 25 milionów na koszty, oraz podanie wskazówek i odpowiedniej recepty.

Marcówce: Tylko operacyjnie można usunąć myszkę. Zaś co do łupieżu, to proszę zastosować środek:

Rp. Balzam Peruviani	50
Ol. ricini	30
Spiritus Vini	50.0

Smarować raz dziennie, łupież zniknie wkrótce. Myć głowę raz na tydzień wodą z my-

dłem siarkowem 2%, do ostatniej wody przy spłukiwaniu dodać parę łyżek octu.

Klimecki.

UWAGA: Listy do Działu Kosmetycznego prosimy kierować pod adresem Administracji „Bluszczu”.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 17

1. Strojna suknia z popielatej mory, W pasie srebrny sznur i wymarszczone ze srebrnej lamy róże, położone na amarantowej aksamitce.

2. Suknia z jedwabiu pomarańczowego; róże czarne.

3. Strojna suknia z crepe georgette koloru różowego, przybrana popielatymi strusimi piórami.

4. Strojna suknia z czarnego jedwabiu, haftowana srebrem.

W celu uniknięcia przerwy w wysyłce pisma, prosimy o szybkie wpłacanie prenumeraty i wyrównanie wszelkich zaległości.

5. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 12 z kolorowej markizety. Pasek i kwiatki z aksamitki.

6. Ubranko dla chłopca od lat 7 do 10 z płócienka w paski. Pasek lakierowany.

7. Kurteczka dla chłopczyka od lat 6 do 9 z granatowej wełny.

8. Suknia z fularu w grochy. Kamizelka i kołnierz biały z falbaneczką plisowaną.

9. Suknia letnia z eponge'u lub płótna szafirowego. Guziki z perłowej masy.

10. Suknia na ulicę z lekkiej wełny, przybrana haftem maszynowym.

11. Suknia z granatowej trykotiny, wyszyta ponsowemi pacioremkami.

12. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z szarego płócienka, lamowana ponsowym.

13. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z ciemnego welwetu, wyszyta kolorowymi paciorkami.

14. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z eponge'u oliwkowego, przybrana barwnym szlaczkiem. Kwiatki z kolorowej wełny.

15. Suknia z fularu deseniowego, granatowego z białym, przybrana fularem granatowym.

16. Suknia z woalu szarego. Falbani lamowane zielonym jedwabiem, aksamitka zielona.

17. Suknia z markizety kolorowej, wykończona falbaneczką.

18. Skromna sukienka z eponge'u, lub płótna, Pasek lakierowany.

19. Wzór na poduszkę, haft kolorowy.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku móg nabywać można w

Administracji „Bluszczu”

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku móg nabywać można w Administracji „Bluszczu”

DRUSKIENIKI

Radioaktywne szczawy chloro-bromowe.

NOWO-URZĄDZONY

„Zakład Dietetyczny” (na Pogance)

otwarty od dnia 15 maja t. b.

przez cały rok, poleca:

piękne pokoje umeblowane z całodziennym, wykwinnym utrzymaniem i z uwzględnieniem w razie potrzeby wszelkich diet. Stała opieka lekarska. Specjalny oddział dla dzieci.

Ceny nader umiarkowane.

Prospekty wysyła Zarząd bezpłatnie.

nie na żądanie.

163

LAKTA I MILKA

najmocniejsze wirówki do mleka, pracują bez naprawy dziesiątki lat. Lakta odfuszcza mleko i niepodgrzewane

OMEGA, konwie do mleka, masielnice, wygniatce, serowarskie przybory.

Biura sprzedaży:

WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 6,

POZNAŃ, Wawrzyniaka 14.

ŁÓDŹ, Kościuszki 29.

LUBLIN, Namiestnikowska 13,

WILNO, Końska 18.

KRAKÓW I LWÓW

ZWIĄZEK SPÓŁEK MLECZARSKICH.

SOLIDNIE!

TANIO!

NA SEZON WIOSENNY

Etole, lisy, pelerynki, kołnierze

POLECA

SKŁAD FUTER

K. STASZEWSKI i K. MASŁOWSKI

Warszawa, KRUCZA 26

TELEFON 223-70

Przeróbki, farbowanie sposobem lipskim.

FELIKS SKRODZKI i SKA

MAGAZYN BŁAWATNY I SKŁAD PŁÓTNA

POLECA:

TOWARY SEZONOWE ORAZ

JEDWABIE, WEŁNY, WELWETY,

AKSAMITY I BIAŁE.

195

Chrześcijański Magazyn

Bławatny „OSNOWA”

wł. PIOTR KOBZAR

Poleca: etaminy, batysty, crêpe de Lyon, trykotiny, satyny pościelowe, koszulowe, kretony etc. na raty i za gotówkę.

172 Żelazna 75a róg Chłodnej, tel. 201-59.

179

FIRMA

Wyroby tkackie

JULJI MAZARAKOWEJ

Nowy Świat 72, drugie podwórze I-e piętro.

POLECA MATERIAŁY CZYSTO WEŁNIANE WŁASNEGO WYROBU, Kamgarny, bostony, streichgarny, sukienka etc. i bawełniane samodziały.

KRAWIEC DAMSKI

MISTRZ CECHOWY

Napoleon RODZIK

POLECA SIĘ TYLKO NA ZAMÓWIENIA:

Wiosenne płaszcze,
okrycia i kostjomy

Z WŁASNYCH I POWIERZONYCH MATERIAŁÓW

Krój wykwinny

Wykonanie solidne

Ceny przystępne

Cukrzy Kakao
Praliny
Czekolada



Riese & Piotrowski

Warszawa, Elektoralna 23/w podwórzu

ZAKŁAD POGRZEBOWY

ORAZ FABRYKA

Trumien metalowych, dębowych i sosnowych

STANISŁAW

WITKOWSKI.

W WARSZAWIE

LESZNO 32 (w gmachu Kościelnym)

Załatwia pogrzeby ekshumacje oraz przewozy zwłok w kraju i z zagranicy.

Wszelkie ubiory pośmiertne.

Buduje groby, stawia pomniki.

Ozdobna platforma do przewożenia zwłok.

Wszelkich informacji udzielam bezinteresownie.

185



Skarb polski wzbogaca,

kto konsekwentnie odmawiając przyjęcia wyrobów zagranicznych, zawsze i wszędzie żąda kosmetyków i perfumów krajowego pochodzenia. Pod względem jakości sprostają one najdalej idącym wymaganiom. Prosimy przekonać się o tem, nabywając

PERFUMY I KOSMETYKI

J. & S. Stempniewicz

W POZNANIU

Oddziały: Warszawa

Kraków

Radom

Ks. Skorupki 8

Rynek Główny 46

Piaski 12.

117

ZAKŁAD WYROBÓW RYMARSKICH i SIODLARSKICH ORAZ

[GALANTERYJNYCH]

P. ORZESZEK

W WARSZAWIE

MARSZAŁKOWSKA 39a

Przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach umiarkowanych

158

Wirówki Alfa, Baltic i Milka. Konwie do mleka. Szkopki. Kubły. Mierniki. Cedzidla. Masielnice. Aparaty wylęgow. Ule, oraz wszelkie naczynia mleczarskie

poleca:

Biurowo Rolniczo-Techniczne

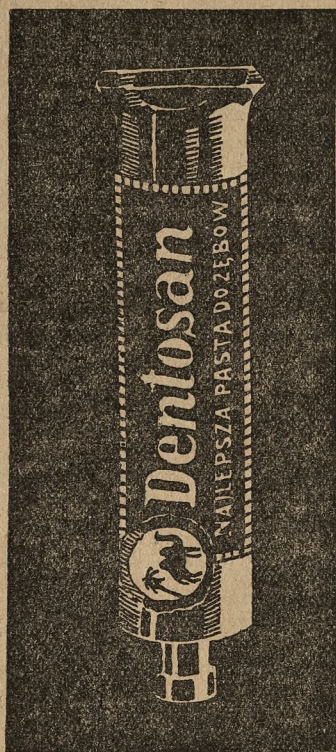
INŻ. ST. NAWAROWSKI SP. Z O. O.

w Warszawie, ul. Kredytowa 4.

NIZKIE CENY

KREDYT

192



119

Opaski: dla pań korpulentnych, przeciw obwisłości brzucha, po operacyjne, na latającą nerwę, przeciw obniżeniu żołądka, po przebytem położu it. d.

Bandaż: na przepukliny brzucha, pępka pachwiny i t.p.

Prostotrzymacze. Pończochy gumowe i t. d. poleca bandażysta

M. Polaczek — w Samborze 180 (cenniki fr. i gr)

Fabryka cukrów i czekolady

Jan Ziółkowski

Sp. Akc.

WARSZAWA, WOLSKA 32

POLECA: Wyroby czekoladowe, cukry, karmelki, wafle.

!!! Żądać wszędzie !!!

171

OBUWIE PŁÓCIENNE MĘSKIE, DAMSKIE SANDAŁY OBUWIE DO TENISU I DO PIŁKI NOŻNEJ

poleca specjalna wytwórnia

B. WRÓŃSKIEGO

Warszawa, ul. Żórawia № 2.

173

Dr. I. SADOWSKA

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczenie Seborrei, trądzika, włosów, opierzchnięcia, czerw. twarzy. nosa.

151 Kosmetyka lecznicza.

Maszyny do szycia

najprzedniejszych gatunków, nowe, ręczne, od równowartości 18 dolarów, nożne 22. bębnowe 30, gabinetowe 36 poleca z długoletnią gwarancją **Bolesław Kulesza**, Warszawa Nowy-Świat 59, skład w podwórzu.

135

L. PRZEZDZIECKA

WYKWINTNE KAPELUSZE OBSTALUNKI, PRZERÓBK

KS. SKORUPKI (SADOWA) 6

183

PARTER

FABRYKA TRYKOTAŻY

JAN MATUSZEWSKI

NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

WYROBY POWROŹNICZE

JAN DZIEWIECKI

Ul. Bielańska 16, telefon 21-78.

POLECA: hamaki, leżaki, łóżka polowe, siatki tenisowe, przyrządy gimnastyczne, liny i szpagaty różnego rodzaju.

189

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA.

MARSZAŁKOWSKA № 145.

GOTOWE I NA ZAMÓWIENIA

OKRYCIA KOSTJUMY SUKNIE
 PODŁUG OTRZYMYWANYCH WCIAŻ NOWYCH MODELI

**FOSFATY NOWA
 MACZKA
 LAROUSSE'A**



Doskonała maczka dla odżywiania niemowląt, dzieci, osób anemicznych, osłabionych i starców! Żądać we wszystkich aptekach, składach aptecznych i większych sklepach spożywczych.

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
1/2 "	51 " 75 "
1/4 "	29 " 25 "
1/8 "	15 " 75 "
1/16 "	9 " — "
1/24 "	6 " — "

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

Perfumerja oraz Salony damski i męski

SATURNIN WIECKOWSKI

Bracka 18

Tel. 257-25.

Poleca perfumerje w dużym wyborze

Roubigant i Coty CENY PRZYSTĘPNE!

OKRYCIA
 KOSTJUMY
 SUKNIE

Podług ostatnich modeli. Gotowe w wielkim wyborze i na zamówienia.

BR. UNKIEWICZ

HOŻA 54
 KRUCZA 30

25 OBUWIA

DAMSKIEGO, MĘSKIEGO I DZIECINNIEGO

NIE KUPUJ DOPÓKI NIE OBEJRZYSZ
 NA WILCZEJ № 27 — 2.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

**PIG. CHLOROFILOWE
 GESSNERA**

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

Kolczyki specjalnie w moim zakładzie kosmetycznym — zakładają się kolczyki, usuwają się: KURZAJKI, BRODAWKI, ZNAMIONA, WĄGRY i t. p. defekty.
 WARSZAWA, NIECAŁA 5. KLIMECKI.

Prenumerata „Bluszczu”

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką . . .	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 " — "
zagranicą miesięcznie	7 " — "
zmiana adresu	30 "

Na bieżący tydzień obowiązuje kurs dnia dzisiejszego t. j. 1 złoty 1.800.000 mk. Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów.

Wysyłkę „Bluszczu” przerywamy stanowczo w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
 Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

Na raty

Na najdogodniejszych warunkach POLECAMY OBUWIE męskie i damskie. Gwarantowane. Piękne fasony.

Tylko u braci „**KOWALSKICH**”

Marszałkowska 47 (sklep)

PIEGI usuwa radykalnie znany
KREM IMSZA
METAMORFOZA

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i l. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
 Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
 Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK” Nowy Świat 8-10.